Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 8 – 15 sierpnia 1948 r. | Nr 32–33 (161–162)

W NUMERZE

między innymi:

L. Bazylow — Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu
Z. Nałkowska — Ze „Zwierzeń"
L. Sobierajski — Z Wystawy Wrocławskiej — o reportażu
A. Kamieńska — „Inteligent chłopski" — bez dogmatu!
W. Strzemiński — Obraz Łodzi kapitalistycznej
E. Małanczówna, J. Pierzchała, T. Urgacz — Wiersze
A. Olechnowicz — Oto wieś!
J. Faleńciak — Rezerwaty

Seweryn Wysłouch

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych

W najbliższych numerach „Wsi" ukaże się cykl artykułów, poświęconych historycznym, ekonomicznym i kulturalnym problemom Ziem Odzyskanych.

Cykl rozpoczyna szereg artykułów Prorektora Uniwersytetu Wrocławskiego Prof. Dra Seweryna Wysłoucha, który, jako Pełnomocnik Rządu, przy współdziałaniu profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, zorganizował Wystawę Historyczną Ziem Odzyskanych.

REDAKCJA

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych, w ramach ogólnej Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, została zorganizowana przez grono pracowników naukowych pod kierunkiem profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego. Ma ona za zadanie przedstawienie dziejów Ziem Odzyskanych oraz ludności polskiej odwiecznie je zamieszkującej.

Zadanie trudne, zważywszy na szczupłość miejsca i wielość tematów, jakie winny były być tu poruszone. Znaczną trudność stanowi ponadto fakt, że losy polskości na Ziemiach Odzyskanych to temat dotychczas bardzo słabo opracowany w nauce polskiej. Na upośledzenie badań w zakresie dziejów polskości w dużej mierze złożyło się: brak dostępu do materiałów źródłowych, zazdrośnie strzeżonych w niemieckich archiwach, oraz wybitnie tendencyjny charakter prac uczonych niemieckich, naświetlających dzieje wschodnich prowincyj Niemiec pod kątem widzenia interesów narodowych i politycznych niemieckiej racji stanu.

Zadanie więc wystawy wrocławskiej to nie tylko syntetyczne zestawienie dotychczasowych wiadomości o tych ziemiach, ale w dużym stopniu samodzielne prace badawcze, odkrywające nowe, prawie całkowicie nieznane karty historii polskości pod zaborem pruskim.

W tych warunkach organizatorzy Wystawy Historycznej Z. O. musieli się ograniczyć do wskazania pewnych zasadniczych linii rozwojowych w życiu Polaków pod panowaniem pruskim, rezygnując z możliwości bardziej analitycznego przedstawienia poszczególnych zagadnień.

Do zagadnień najbardziej znanych należą dzieje polityczne Ziem Odzyskanych. Proces ekspansji niemieckiej na wschód, próby odcięcia Polski od morza, zaciskanie się kleszczy niemieckich dookoła Polski, wynikłe stąd wieloletnie zmagania o dostęp do morza, wreszcie rozbiory Polski i najdalszy zasięg niemieckiego pochodu na wschód — to fakty nie budzące wątpliwości w nauce polskiej.

Inaczej wygląda sprawa całokształtu życia polskiego na Śląsku i Pomorzu pod władztwem niemieckim. Te zagadnienia są na ogół mało znane, zwłaszcza w szerszych kołach społeczeństwa polskiego.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak naprawdę bujne i bogate było życie polskie na Ziemiach Odzyskanych i to nie tylko w średniowieczu, kiedy Śląsk stał się jednym z głównych ośrodków kultury artystycznej, umysłowej i politycznej Polski, ale i później kiedy to pod obcym panowaniem polskość nie zamarła, odwrotnie utrzymywała bliskie węzły kulturalne, gospodarcze i umysłowe z Macierzą i kiedy wybitni synowie Śląska i Pomorza rozsławiali w świecie imię Polski swymi pracami i odkryciami naukowymi i artystycznymi.

Przedstawienie i wykazanie przy pomocy licznych zdjęć fotograficznych kultury artystycznej wspaniałych budowli fundowanych i wznoszonych przez polskich budowniczych i rzemieślników na całym terenie Ziem Odzyskanych, często opartych o wzory budownictwa Polski centralnej — to jedno z zadań Wrocławskiej Wystawy Historycznej.

Niemniejsze znaczenie ma wykazanie, jak żywe więzy łączyły życie umysłowe Śląska i Pomorza z Macierzą, jak często słowo i druk polski z Ziem Odzyskanych promieniowały na całą Polskę zarówno w wieku XIII jak i XVI — XVII. Łączność umysłową może najdobitniej ilustruje mapa zasięgu Uniwersytetu Jagiellońskiego w XV w., kiedy to wśród studentów krakowskich widzimy liczne rzesze młodzieży ze wszystkich ośrodków Ziem Odzyskanych.

Ołtarz św. Łukasza z kościoła Marii Magdaleny we Wrocławiu, wykonany w/g ryciny Wita Stwosza

Niemniejsze znaczenie mają więzy gospodarcze: dobrobyt Gdańska wyrósł na eksporcie zboża polskiego, rozwój handlowy Wrocławia na jego udziale w wielkim handlu tranzytowym z Krakowem i innymi miastami Polski. Żywy kontakt handlowy sprowadzał kupców Ziem Odzyskanych do Polski i odwrotnie — roiły się miasta Śląska i Pomorza od gości z Macierzy. Wzajemne zaś stosunki wymienne ponad granicami politycznymi utwierdzały związki i łączność ogólno-narodową Polaków.

Mimo niewątpliwie bardzo ciekawą problematykę życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych we wczesnym i późnym średniowieczu, na czoło Wrocławskiej Wystawy Historycznej wysuwa się okres ostatnich lat dwustu.

W pierwszej połowie XVIII w. zostały położone podwaliny pod gmach pruskiego imperializmu. Okres ten inicjuje budowniczy nowoczesnego państwa pruskiego — Fryderyk II. Z momentem wcielenia Śląska w 1742 roku rozpoczyna się z całą premedytacją prowadzony proces eksterminacji żywiołu polskiego na obszarach państwa pruskiego. Hasło germanizacji bez oglądania się na środki staje się kamieniem węgielnym całej polityki Berlina w stosunku do Polaków przez okres lat dwustu.

Dzieje tego okresu to niewątpliwie najmniej znany fragment dziejów Polski. Stąd organizatorzy Wystawy Wrocławskiej ześrodkowali maksimum wysiłku, by wypełnić istniejące luki w literaturze naukowej polskiej i by pokazać, jak konsekwentna i nieubłagana w środkach była polityka pruskiego imperializmu i jak nieprawdopodobnie odporna była postawa ludu polskiego, który osamotniony, pozbawiony swej inteligencji, całkowicie podporządkowany wielkim obszarnikom i kapitalistom niemieckim, bronił zacięcie swej polskości i trwał, by po latach dwustu w znacznie wprawdzie zmniejszonej liczbie doczekać powrotu do Macierzy.

Bohaterem tego okresu są bezimienne masy polskich robotników i chłopów, które o polskość walczyły, ginęły i zwyciężyły, mimo że pozostawione same sobie, skazane były na całkowitą zagładę.

Dzieje tej walki Wystawa Wrocławska ujmuje w ramy chronologiczne. W pierwszej części zostały zgromadzone edykty i rozporządzenia germanizacyjne Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma oraz znaczna ilość materiałów archiwalnych, ilustrujących metody wprowadzania ich w życie.

Znany edykt Fryderyka II z dn. 8. VI. 1764 r. inicjuje plan germanizacji ludności polskiej bezceremonialnie stanowiąc: „Ponieważ usilnie pragniemy, aby w tych okolicach i miejscowościach, gdzie podwładni władają tylko językiem polskim (cały Śląsk Górny i większość Śląska Dolnego), język niemiecki coraz więcej się rozpowszechniał..." aby:

„1) żadne dominium pod karą 10 tal. za wypadek wykroczenia nie odważyło się od dzisiejszego dnia ze swoich poddanych obojej płci przyjmować kogokolwiek za służących lub za czeladź folwarczną, który by po niemiecku nie rozumiał; 2) żadnej dziewczynie, która 16 roku jeszcze nie ukończyła, nie wolno z ogłoszeniem tego rozporządzenia udzielić zezwolenia na małżeństwo, dopóki po niemiecku się nie nauczy; 3) podwładnemu płci męskiej, który nie ukończył 20 roku życia nie należy również udzielić pozwolenia na ożenienie się, dopóki się po niemiecku nie nauczy..."

W cyrkularzu z dn. 24. V. 1764 r. Fryderyk II stwierdza: „z największym niezadowoleniem dowiedziałśmy się, że na Śląsku we wsiach, w okolicach całkowicie polskich są zatrudnieni nauczyciele nie będący w stanie nauczać języka niemieckiego, tak, że młodzież wzrasta jak bydło".

Stąd cały aparat urzędniczy, szkolny i duchowny musi się podporządkować zasadom polityki germanizacyjnej. Polacy winni być ze wszystkich stanowisk usunięci, by nie mogli oddziaływać na masy ludowe.

Niewiele się różnią rozporządzenia Fryderyka Wilhelma. W dn. 30. IV. 1789 r., a więc w okresie t. zw. przymierza polsko-pruskiego czasu sejmu czteroletniego, nakazuje on Konsystorzowi we Wrocławiu: **„uważamy za konieczne zniesienie języka polskiego i wprowadzenie niemieckiego na całym Śląsku i że od tej chwili nie należy dopuścić nikogo do nauki religii i do św. komunii, kto nie posiada pewnej biegłości w języku niemieckim"...**

Postanowienia edyktów królewskich nie były tylko pogróżkami. Zachowane przekazy źródłowe stwierdzają, że były one wprowadzane w życie i że spotykały się już wówczas ze zdecydowanym oporem ludności polskiej.

Zdecydowana postawa chłopów w walce z uciskiem socjalnym i narodowym doprowadzała niejednokrotnie do wybuchu t. zw. buntów chłopskich, surowo uśmierzanych przez władze pruskie. Tak np. w 1765 r. przyszło z powodu ucisku do znanego wielkiego buntu chłopów pod Głupczycami przeciw panom; całe wsie poszły w lasy, a chłopi starali się także zbuntować swoich towarzyszów niedoli w powiatach: bytomskim, toszeckim i pszczyńskim.

Wypadki czynnego oporu zdarzały się częściej, o czym świadczy rozporządzenie królewskie z 7. XII. 1775 r. normujące kary, na jakie poddani buntujący się przeciw dziedzicom mieli być skazywani. Mimo to w 1780 r. wybuchają rozruchy chłopskie przeciw panom na Górnym Śląsku, zaś w 1785 r. w kluczu odmuchowskim i powiecie wałbrzyskim powstały groźne bunty, które trzeba było uśmierzać wojskiem, karami cielesnymi i więzieniem.

Wypadki czynnego oporu i buntów chłopskich przeciwko uciskowi niemieckich ob-

WARSZAWA 8 – 14 SIERPNIA

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA MŁODZIEŻY PRACUJĄCEJ

WROCŁAW 25 – 28 SIERPNIA

ŚWIATOWY KONGRES INTELEKTUALISTÓW W OBRONIE POKOJU

szarników, to reakcja ludzi doprowadzonych do ostateczności. Natomiast o wiele bardziej charakterystyczny jest upór i walka, jaką toczy ludność Ziem Odzyskanych o zachowanie języka polskiego. Występuje to zwłaszcza jaskrawo w walce o język nabożeństw w kościołach ewangelickich na Dolnym Śląsku.

Licznie zachowane raporty pastorów do władz konsystorskich we Wrocławiu wprowadzają nas w zupełnie nieznany świat tragedyj przeżywanych przez ludność polską na tle akcji germanizacyjnej władz pruskich w kościele. Bowiem zgodnie z rozporządzeniami rządu pruskiego **„kościół i szkoła muszą działać równocześnie i wspólnie, także jeśli idzie o rozpowszechnianie języka niemieckiego".**

Obok kościoła i szkoły akcji germanizacyjnej służyli przede wszystkim niemieccy obszarnicy. Zasługi ich na tym polu podkreśla pastor König w raporcie do rządu z dn. 5. X. 1835 r. **„Kościół i szkoła mogą zdziałać wiele dla rozszerzenia języka niemieckiego i wyparcia języka polskiego, ale nie wszystko. Część najważniejszą mogą spełnić właściciele majątków ziemskich, jeżeli sami nie rozumiejąc języka polskiego, będą angażowali takich wójtów, urzędników i t. p., którzy nie rozumieją po polsku i będą popierali robotników, mówiących po niemiecku. W sąsiednich powiatach, szczególnie w oleśnickim (pod Wrocławiem) takie postępowanie zdziałało więcej niż nabożeństwa i nauka szkolna".**

Bezwzględne zarządzenia germanizacyjne w kościele budziły opór wśród światlejszego duchowieństwa ewangelickiego. Świadczy o tym sprawozdanie pastora Michaelisa z Oleśnicy do rządu z dn. 29. IX. 1835. Wystarczy je zacytować jako bardzo charakterystyczne: **„mężczyźni, którzy wychodzą więcej w świat rozumieją po niemiecku, ale nie kobiety. W domu mówi się i modli się wyłącznie po polsku. Spotkałem w szkole dzieci, które wprawdzie dostatecznie czytały po niemiecku, ale nie rozumiały mnie, gdy pytałem je o ich wiek... Dlatego też ludzie prawie że oblegali mnie z prośbami do królewskiego rządu.**

Naczelnicy wsi rzucili się grafowi do nóg i oświadczyli, że we wszystkich domach jest tylko płacz i narzekanie z powodu utracenia przez nich polskich nabożeństw.

Następnego dnia cała masa kobiet... prosiła mnie z obfitymi łzami w oczach, abym ja prosił w ich imieniu..."

Zmiękczony łzami kobiet pastor Michaelis wnosi o pozostawienie nabożeństw polskich w Oleśnicy jeszcze na lat kilka.

Również superintendent Jany ze Strzelina w raporcie z 1822 r. stwierdza: **„Lubieś (pow. brzeski, D. Śląsk) jest gminą prawie całkowicie polską i mało kto rozumie choćby słowo po niemiecku... Byłoby naprawdę nieodpowiedzialnym okrucieństwem tak wielką liczbę ludzi pozostawić bez nauki, kazań i pociechy w ich mowie ojczystej, którą oni tylko i jedynie rozumieją"**, lub pastor Moldy **„przez bezwzględne przeprowadzanie najnowszych rozporządzeń germanizacyjnych nauka religii przekształci się w bezduszną tresurę języka niemieckiego."**

Nie brak i oryginalnych petycyj składanych przez ludność do władz o zachowanie polskich nabożeństw.

Z braku miejsca zacytuję tylko jedno z pow. Oławskiego z 16. III. 1811 roku do miejscowego pastora: **„Z głęboko ściśniętym sercem przedkładamy Panu nasze skargi. Nie przypuszczaliśmy, że Pan nie będzie nam odprawiał nabożeństw polskich, a tylko zawsze cieszyliśmy się tym, że u nas pozostanie jeszcze tak, jak to było za naszych przodków. Gdy ogłosił nam Pan z ambony, że nie będzie tutaj nabożeństw polskich, przestraszyło nas to tak bardzo i poruszyło do tego stopnia, że Pański kościół, do którego tak chętnie chodziliśmy opuściliśmy z gorzkimi łzami. Czy jest to Pańską wolą, że musimy się rozłączyć z tym kościołem, do którego należeli nasi ojcowie i praojcowie? Będzie to dla nas bardzo ciężkie, ale będziemy do tego zmuszeni, jeżeli nie będzie dłużej nabożeństw polskich"...**

Petycje tego rodzaju możnaby mnożyć, a wszystkie one stwierdzają, jaki zdecydowany opór stawiała ludność polska akcji germanizacyjnej. Oczywiście stulecie bezwzględnej polityki germanizacyjnej zrobiło swoje.

Pod uderzeniami pruskiej szkoły, administracji, kościoła, obszarników i kapitalistów kurczył się polski obszar językowy, coraz bardziej spychany na wschód, za Odrę. Mimo to lud polski w walce nie ustawał i w masie swej przetrwał lata najbeznadziejniejszego osamotnienia 1742—1848.

Wiosna Ludów obudziła w ludzie polskim nadzieję na lepszą przyszłość.

Stąd żywy oddźwięk haseł wolnościowych wśród ludu polskiego Śląska i Pomorza. Rok 1848 to równocześnie przejście do nowego okresu. Łączy się ten okres z t. zw. Odrodzeniem Narodowym o wiekopomnym znaczeniu dla dziejów polskości Ziem Odzyskanych.

Wystawa Wrocławska Wiośnie Ludów i Odrodzeniu Narodowemu poświęciła dużo miejsca ze względu na szczególne znaczenie tego okresu w dziejach polskości na Śląsku i Pomorzu.

Seweryn Wysłouch

(c. d. n.)

Ludwik Bazylow

Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu

W DNIACH 19—22 września 1948 r. zbiorą się we Wrocławiu przedstawiciele polskiej nauki historycznej, by po raz siódmy publicznie przedyskutować najbardziej obecnie żywotne i aktualne zagadnienia z zakresu dziejów Polski. Z sześciu poprzednich zjazdów trzy odbyły się jeszcze przed pierwszą wojną światową (pierwszy w Krakowie w r. 1884), trzy zaś w okresie międzywojennym, w 1925 w Poznaniu, w 1930 w Warszawie i w 1935 w Wilnie. Dzieje polskich zjazdów historycznych liczą zatem lat z górą sześćdziesiąt.

Nie należy jednak sądzić, że pomimo tego długiego okresu oraz dość równomiernych odstępów czasowych pomiędzy poszczególnymi zjazdami, łączyły się one stale jakąś jednolitą ideą przewodnią; było nią co najwyżej stałe aktualizowanie tematyki referatów zjazdowych, słuszne zresztą i nieodzowne. Inne kwestie zaprzątały bez wątpienia historyków polskich przed pierwszą wojną światową, inne zagadnienia wysunęły się na czoło zainteresowań w dobie międzywojennej. Dlatego też rezultaty obrad każdego zjazdu są całością pod pewnym względem zamkniętą, stanowiąc z jednej strony skondensowany zarys dorobku historycznego z okresu między zjazdem bieżącym a poprzednim, z drugiej zaś wykładnik tego, co w danej chwili uważano za aktualne i umieszczano na pierwszym planie.

Wszystkie niemal dotychczasowe zjazdy w sposób trochę schematyczny i nie zawsze całkiem naturalny nawiązywały do różnych jubileuszów i rocznic. Tak więc obrady zjazdu wileńskiego z r. 1935 obracały się głównie dokoła stosunków polsko - litewskich w przeszłości, przy czym za punkt wyjścia wzięto pięćsetną rocznicę bitwy pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą, gdzie rozgromieni zostali przeciwnicy unii polsko - litewskiej. Bitwa nad Świętą była zatem triumfem idei jagiellońskiej, pojętej jako koncepcja utworzenia jednolitego państwa polsko -litewskiego. Ten problem stanowił podówczas trzon tematyki obrad zjazdu. Wątpliwe, czy spodziewał się ktoś wtedy, że już po kilku latach ukaże się w tak tragicznym świetle fakty, które pod niejednym względem sprowadzić będzie można właśnie do jagiellońskiej ekspansji na wschód, ekspansji o kilkusetletnim wprawdzie efekcie — lecz bez treści i znaczenia dzisiaj. Dopiero najnowsze badania wykazują i w najbliższej przyszłości prawdopodobnie w stopniu jeszcze intensywniejszym wykażą wszystkie aspekty, właściwy całokształt polityki jagiellońskiej, nie pozbawionej poważnych błędów, jeśli chodzi o sferę jej zainteresowań wschodem, lecz przy tym poszczycić się mogącej wieloma elementami pozytywnymi, zwłaszcza wobec zagadnień zachodnich.

Obecny Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu staje nie tylko wobec tradycyjnej konieczności przedstawienia i przedyskutowania kilkudziesięciu tematów, o bardzo wybitnym, podobnie jak i poprzednio, wydźwięku aktualnym; staje również wobec nowej rzeczywistości dziejowej, która kształtować będzie odtąd całe nasze życie kulturalne. W ogniu drugiej wojny światowej zajaśniały pełnym blaskiem momenty, na które przedtem mało zwracano uwagi, pewne natomiast koncepcje przepadły bezpowrotnie. Jeśli dzieje rozwoju społeczeństw są rzeczywiście korelatem otaczającej je, uchwytnej i zmiennej rzeczywistości, to możemy się przecież pocieszyć, że błędy, jakie czasem w osądzie dziejów popełniamy, nie zawsze muszą być naszą winą; niejednokrotnie właśnie dzięki takim a nie innym warunkom wyciągamy wnioski wręcz odmienne od tych, które należało wyprowadzić. Prawdziwy postęp naszej nauki polegać może tylko na nieustannej konfrontacji naszych sądów z tą rzeczywistością, w tym wypadku z rzeczywistością minioną. Zdaje się, że pod tym względem można będzie horyzontom naszej obecnej nauki historycznej zarzucić mniej, niż kiedykolwiek. W tym krótkim okresie, jaki upłynął od zakończenia działań wojennych, pojawiło się takie mnóstwo prac historycznych o tematyce tak różnorodnej, że obfitość tę przypisać chyba należy nie tylko normalnie po każdej wojnie następującej epoce lat tłustych; nie ulega wątpliwości, że przełomowy okres, w jakim żyjemy obecnie, nie odzwierciedla się wyłącznie w unarodowieniu przemysłu i w upowszechnieniu kultury; miejmy nadzieję, że pewien przełom dokona się również w gabinetach uczonych, którzy do wyścigu o dalsze kształtowanie naszej nowej rzeczywistości wystartują z nową po części problematyką: postawić jej będzie trzeba jeszcze pewnie bardzo wiele zarzutów, ale należy wierzyć, że orędownicy jej nie będą ostatni na mecie.

Zjazd obradować będzie w 5 sekcjach. Pierwsza zajmie się dziejami Śląska i Wielkiego Pomorza, druga — dziejami Słowiańszczyzny, trzecia — Wiosną Ludów, czwarta — genezą współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego, piąta — polską nauką historyczną po drugiej wojnie światowej. Podział na sekcje wydaje się słuszny i jeżeli chodzi o całokształt pierwszoplanowych obecnie zagadnień, o to, czego współczesne społeczeństwo polskie rzeczywiście potrzebuje i od historyków oczekuje — wyczerpujący. Ustalona już niemal tematyka obrad poszczególnych sekcyj potwierdza to przypuszczenie. Wiekowa rywalizacja Polski i Niemiec na terenie naszych obecnych prowincyj zachodnich zakończyła się ostatecznie całkowitym rozgromieniem tysiącletniego agresora i pełnym triumfem pierwotnej i jedynie realnej koncepcji piastowskiej. Zbyt ciężkie były jednak zmagania i zbyt skomplikowane stosunki polsko - niemieckie podczas dziesięciu ubiegłych wieków, ażeby można było przejść na tym odcinku nowej rzeczywistości do porządku dziennego bez drobiazgowej, sumiennej i metodologicznie nieskazitelnej analizy tego - nawału problemów. Zbyt wiele włożyliśmy w nasze ziemie zachodnie w przeszłości, ażeby przyjąć stan obecny tylko jako rezultat szczęśliwie zakończonej wojny, lub co gorsza, jako cud. Potrzeba nam dokładnego obrazu wszystkich faktów i przemian. W dwudziestu referatach, począwszy od zarysu struktury geograficzno - historycznej polskiej granicy zachodniej, poprzez charakterystykę form przenikania niemczyzny na ziemie polskie, zagadnienie polityki krzyżackiej, kolonizacyjnej, polskości na Śląsku, poprzez obrazy ruchów narodowych, stosunków wyznaniowych i kulturalnych, aż do problemów politycznych na przełomie w. XIX i XX — przedstawione zostaną rezultaty dotychczasowych wysiłków uczonych polskich i co jeszcze ważniejsze — perspektywy dalszej rozbudowy tych badań.

Posiedzenia sekcji poświęconej dziejom Słowiańszczyzny wprowadzą nas w problematykę, przechodzącą obecnie swój pełny a tak zasłużony renesans. Zasadnicze znaczenie należałoby tu przyznać referatom, których autorzy sprecyzują dzieje stosunków kulturalnych polsko - rosyjskich i polsko - czeskich, przy czym uwzględnione będą również stosunki rewolucjonistów polskich z rosyjskimi. Konieczność oparcia się Polski o państwa słowiańskie w obecnej konstelacji politycznej Europy nie ulega już chyba dla nikogo wątpliwości. Rozwój stosunków Polski z resztą Słowiańszczyzny pojmowano natomiast często opacznie, a mnogość węzłów, jakie łączyły nas z państwami słowiańskimi w przeszłości, aż zadziwiająca po prostu, domaga się jak najpełniejszego wydobycia na światło dzienne. I tu więc obrady Zjazdu przyniosą w pełni materiał konkretnie potrzebny.

Referaty sekcji roku 1848 scharakteryzują polski dorobek rewolucyjny w tym najważniejszym bodaj dla dziewiętnastowiecznej Europy okresie, kiedy to po raz pierwszy obok burżuazji wystąpiła klasa robotnicza, jako czynny motor rewolucji. Niezwykle ciekawe powinny być dane, dotyczące ówczesnych wypadków w Poznańskim i na Śląsku oraz charakterystyka stosunków, jakie łączyły Polaków z innymi Słowianami i zapatrywań twórców socjalizmu naukowego na sprawę polską. Referaty sekcji czwartej zaznajomią nas z problemem genezy współczesnego społeczeństwa polskiego, przy czym specjalny nacisk położony będzie na kwestię robotniczą i chłopską w Polsce w w. XIX i XX oraz na początki socjalizmu w Królestwie Polskim i w Galicji. Tematem obrad sekcji piątej wreszcie będą zagadnienia natury teoretycznej i metodologicznej. Wbrew utartemu mniemaniu, rozważania teoretyczne powinny być w tym wypadku bodajże najbardziej interesujące, nie tylko ze względu na sugestywność niektórych tematów, jak „Rola kultury historycznej w dobie przebudowy ustroju społecznego", lub „Uwarunkowanie społeczne faktów historycznych i ich oceny", lecz i dlatego, że pewne tematy zjawiają się w ogóle po raz pierwszy w historii wszystkich zjazdów, jak np. „Zagadnienie materializmu historycznego i potrzeba polskiego dziejopisarstwa". Pozwalałoby to wysnuwać najlepsze prognostyki na przyszłość, jeśli chodzi o polską naukę historyczną, która wydaje się zrywać wreszcie na pewnych odcinkach z koncepcją izolacji metodologicznej.

Tematyka Zjazdu dowodzi zatem wystarczająco zbieżności nauki historycznej z życiem i łączności ze społeczeństwem, z tym społeczeństwem, które stanęło teraz wobec konieczności zrozumienia zagadnień zachodnich i słowiańskich i musi czerpać swoje siły od tych, którzy w jego imieniu bronili przed stu laty postępu ludzkości. Pojęcie postępu jednakże zmienia się, podobnie jak wszystkie elementy rzeczywistości. Nie wszystko, co było postępem w roku 1848, jest postępowe dzisiaj.

Polska myśl historyczna, abstrahując od jej szerokich horyzontów i wspaniałego rozwoju, miała, niestety, często tendencje do faworyzowania tych wstecznych właśnie sformułowań i nie zawsze dotrzymywała kroku dokonującej się dokoła niej ewolucji. Wolno przypuszczać, że Zjazd Wrocławski stanowić będzie właśnie moment pod pewnym względem przełomowy.

I nie trzeba do tego zrewolucjonizowania wszystkich poglądów lub ograniczenia wolności badań naukowych. Wystarczy, jeśli nauka dążyć będzie do prawdy jasną i prostą drogą, a wyzbędzie się wszelkiego irracjonalizmu i mistyki. Niestety, pomylił się ów minister, który przed osiemnastu laty podczas otwarcia Zjazdu Historyków w Warszawie zwrócił się do nich z apelem, ażeby wychowując młode pokolenie, działali nie tylko na umysł, lecz i na serce, bo „tylko uczucie nie podlega dyskusji". Historia ma niewiele wspólnego z sercem.

Z Wystawy Wrocławskiej

Leonard Sobierajski

Z WYSTAWY WROCŁAWSKIEJ — O REPORTAŻU

(List otwarty do Eugeniusza Szyra, Wice-ministra Przemysłu i Handlu)

Obywatelu Ministrze!

PRAGNĘ dziś Panu przypomnieć Zjazd Pisarzy Chłopskich w Rytwianach w roku ubiegłym, pragnę przypomnieć atmosferę, w jakiej znaleźli się uczestnicy Zjazdu po wysłuchaniu Pańskiego referatu. Była to atmosfera entuzjazmu. Pokazał nam Pan istotny sens dokonującej się rewolucji gospodarczej w nowej Polsce, unaocznił kolosalny wysiłek, jaki już został dokonany przez ludzi nowego ustroju w dziedzinie naszej odbudowy gospodarczej. Wzruszeni byli nasi starzy pisarze ludowi — Piotr Stopczyk, stary chłop ale i robotnik, zahaczający w latach młodości o przemysł łódzki, Maciej Czuła, chłop ale obijający się już jako dwudziestoletni chłopak po wielkich niemieckich zakładach pracy, był wzruszony również i Józef Kapuściński, entuzjasta wszystkiego co ludowe, co z chłopskiej i wsiowej dumy pochodzi, wzruszony był ten nasz stary ludowy liberał, a cóż mówić, dopiero o nas — młodych chłopskich intelektualistach.

To, co od Pana usłyszeliśmy, Panie Ministrze, nakładało na nas, pisarzy, pewne zobowiązania. W końcowej partii swego referatu powiedział Pan: „Chce zwrócić uwagę na to, że aby wieś dobrze zrozumiała... ewolucję gospodarczą, zachodzącą w Polsce, wy pisarze chłopscy musicie o tym pisać. Skarżą się inżynierowie i robotnicy, że o ich pracy się nie pisze". Powiedział Pan dalej: „trzeba umieć pewne problemy przedstawić tak chłopu na wsi, jak i robotnikowi w fabryce... czas już dojrzał... byśmy znali podstawy zagadnień polityczno-gospodarczych. Nie będzie w tym ani krzty przesady, jeżeli powiem, że jest to kwestia najważniejsza". Postulował Pan dalej, by pisarstwo nasze było proste i zrozumiałe. Powiedział Pan, że „naród pod tym względem liczy na pisarzy chłopskich".

Stanął przed nami jasno problem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że pisanie proste i zrozumiałe wymaga spełnienia podstawowego warunku: „byśmy znali podstawy zagadnień polityczno - gospodarczych". Było dla nas rzeczą oczywistą, że zagadnienie to nie przedstawia się łatwo, właśnie dla młodych pisarzy narodu, który wytworzył historyczną warstwę inteligencji o antytechnicznym nastawieniu, warstwę inteligencji wyrosłej w tradycjach idealistycznej teorii kultury. Udowodniła nam to książka profesora Chałasińskiego: „Genealogia inteligencji polskiej", udowodnił nam to referat Jana Aleksandra Króla: „Inteligenckie getto chłopskie"

* * *

Po dwóch tygodniach od zakończenia Zjazdu grupa pisarzy zespołu „Wsi" znalazła się na szlaku: Bytom — Zabrze — Gliwice — Łabędy, Wrocław — Opole, Wałbrzych — Jelenia Góra. W grupie znaleźli się młodzi prozaicy, poeci, krytycy literaccy. Jako cel wycieczki postawiliśmy sobie — przyjrzeć się procesowi odbudowy naszego przemysłu na Ziemiach Odzyskanych — oczywista z konsekwencjami pisarskimi. Spodziewaliśmy się, że owocem wycieczki będzie szereg reportażów, które by spełniły postulat, zawarty w Pańskim, Obywatelu Ministrze, referacie rytwiańskim. Z góry, apriorycznie ustaliliśmy pewną metodę pracy. Można by to ująć w kilku punktach: obejrzeć zakłady pracy, ustalić stopień ich odbudowy, przyjrzeć się procesowi produkcji, no i przede wszystkim dojrzeć człowieka, dojrzeć robotnika. Była to rzeczywistość dla nas pisarzy chłopskich nieznana, i z autopsji, i źle znana z doświadczeń literackich. Gdy znaleźliśmy się „w terenie" zaskoczyło nas jedno: huty, kopalnie, wielkie zakłady metalowe, fabryki włókiennicze — okazały się przedmiotem niesłychanie skomplikowanym mogliśmy doświadczyć tu na własnej skórze, co znaczy filozoficzny termin Leona Chwistka: „wielość rzeczywistości". Stanęliśmy wobec skłębionych problemów, domagających się jakiejś ostrej selekcji, jakiegoś precyzyjnego ustawienia. Od razu w pierwszej chwili zatarły się przed nami perspektywy. Postawieni wobec nowego zadania z lękiem stwierdzaliśmy, że sprawę można by rozegrać tylko w wypadku posiadania określonego systemu literackiego widzenia tej nowej rzeczywistości. A jak dotychczas nie mieliśmy żadnych jasnych dyrektyw jak patrzeć, jak selekcjonować materiał, jak organizować ten ogrom wrażeń, spadających na oglądającego.

Czuliśmy, że dostaliśmy się na teren upartej walki o plan gospodarczy. Przez Śląsk Górny i Dolny przebiegała już fala współzawodnictwa. Radość z odbudowy, radość z uruchomienia warsztatów pracy była już poza robotnikiem i inżynierem. Oglądaliśmy kopalnię „Bytom", która akurat święciła dzień zdobycia sztandaru pracy za przekroczenie norm wydobycia w miesiącu lipcu. Dowiadywaliśmy się, że robotnik huty „Kościuszko" na klęczkach przysięgał, że załoga jego zakładu nie pozwoli wyrwać sobie z rąk zdobytego również sztandaru pracy. Widzieliśmy jak huta „Julia" boryka się z kolosalnymi trudnościami odbudowy, braku robotnika fachowego. Przy stanie zatrudnienia około 5 tysięcy osób, za dwa ostatnie lata był tu przepływ ludz, do trzydziestu pięciu tysięcy. Brak mieszkań. Dyrektor naczelny mówił mi: „Angażuję człowieka, gwarantując mu, że dam mu mieszkanie, z góry wiem, że obietnicy nie dotrzymam, ale zdobywam przynajmniej trzy miesiące pracy tego człowieka dla swojej huty. Nieuczciwość, tak, ale cóż mam zrobić — potrzebuję robotników dla wykonania planu, a mam niedostateczne kredyty na odbudowę domów mieszkalnych. Nie mogę stanąć ze swoim zakładem do współzawodnictwa: jeden z wielkich pieców w odbudowie, koksownia — największa w Polsce wskutek rabunkowej gospodarki Niemców w czasie wojny, musi pracować teraz z największą ostrożnością, ciągle zatrzymujemy produkcję dla remontów" W kopalni „Bytom" oglądamy nowoczesną płuczkę — ogromne wielopiętrowe urządzenie o skłębionym wyglądzie rur, przetaków, dziwnych instalacji, po prostu dla nas „abrakadabra". Pilnuje tego młody, prosty robotnik. Ze swobodą i nonszalancją tłumaczy nam działanie tej apokaliptycznej aparatury. Panuje nad przedmiotem znakomicie, z dumą wspomina, że i on w to coś włożył, mianowicie wynalazł własny, z surowca dostępnego na miejscu, izolator, spajający jakieś dwa przewody w skomplikowanym systemie płuczek.

Tłoczą się na nas różne momenty. W Łabędach, gdzie zastaliśmy hutę w odbudowie, gdzie jednak już produkcja idzie, w warsztatach stała imponująca konstrukcja mostowa, a na potężnych lewarach rysował się ostrą stalą maszt linii wysokiego napięcia — mechanik, autochton z warsztatów reparacyjnych mówi mi: „Cieszymy się, że już produkcja ruszyła, ale redaktorze, koniecznie poprawy dla nas, ja kocham swój zawód, wystarczy mi, że o suchym chlebie stoję przy obrabiarce, ale mam dzieci, chciałbym im dać mleka i tłuszczu". Cóż mogłem odpowiedzieć, każde zdanie krzyczałoby obrzydliwą, dziennikarską sztampą. Oh, Ministrze! proszę mi wybaczyć melodramatyczny akcent, ale czułem wówczas „nóż w sercu". To było rok temu. Huta „Łabędy" cały swój wysiłek skoncentrowała na pierwszym etapie odbudowy, nie miała jeszcze żłobka, nie miała przedszkola, a przecież oglądałem te wspaniałe urządzenia wszędzie indziej. Trudno jednak było mówić o tym z moim interlokutorem, on potrzebował już zaraz, natychmiast — kochał swoje dzieci.

W wrocławskim „Pafawagu" gawędziłem przy obrabiarkach z młodymi, zdolnymi majstrami. Czuło się, że są patriotami zakładu, że całkowicie są w jego sprawę zaangażowani. „Rozumiem—mówił jeden—naszą trudną sytuację ekonomiczną, rozumiem, dlaczego prywatny przedsiębiorca dałby mi większe uposażenie, nie przejdę do niego, zostanę w Pafawagu, bo to jest właśnie mój Pafawag, byłem tu od momentu, gdy zakłady przedstawiały jedną wielką kupę gruzów, śmieci i pogiętych konstrukcji maszyn — nie rozumiem tylko jednego, dlaczego na uszycie garnituru muszę wydać całą swoją pensję, ja dobry, wykwalifikowany tokarz".

Zwiedzałem domy kultury, prewentoria, żłobki, robotnicze domy wczasów. Żłobki są pełne, początkowo stawiano opory, prewentoria są pełne — dzieci się w nich bardzo dobrze czują, malcy w żłobkach świetnie wyglądają, mają najstaranniejszą fachową opiekę. Robotnice z huty „Julia" — autochtonki bez mężów, którzy poginęli na wojnie, z zadowoleniem rozmawiają już teraz o żłobkach. Domy kultury jednak świecą jeszcze pustkami, biblioteki i czytelnie czasopism są mało uczęszczane, co najwyżej zachodzą tu młodzi — uczniowie szkół przemysłowych, zachodzi młodzież zorganizowana.

Aktyw partyjny, tak—ale robotnicy w swojej masie nie doceniają jeszcze, nie potrafią wejść i zużytkować w pełni tych zdobyczy socjalnych, jakie im daje nowy ustrój. Urlop spędzają jeszcze nieracjonalnie. Zanotowałem wiele wypadków, że robotnik swoje wczasy zużywał na jakiś remont własnego mieszkania, czy jechał gdzieś do rodziny, do innego miasta. Pensjonaty w pięknych miejscach uzdrowiskowych to jest coś, co nie mieści się jeszcze w jego świadomości, jako miejsce do zużytkowania.

* * *

Kłębiły się przed nami problemy: postrzeżenia procesów produkcji odchodziły na bok, coraz bardziej pasjonował nas człowiek, staraliśmy się jednak utrzymać naszą linię, zadawaliśmy męczące już dla dyrekcji i robotników pytania: w jakim stopniu zniszczenia zastano zakład, o ile posunęła się odbudowa, jak wygląda produkcja, jaki stanowi udział w ogólnej produkcji danej gałęzi przemysłu, w jakich relacjach pozostaje z innymi zakładami. Odpowiadano nam uprzejmie, ale z lekkim, zmęczonym uśmiechem. Rozmowę ciągle przerywały telefony: „brak pasów transmisyjnych", „obrabiarka na ścianie X uszkodzona", „brak budulca na przodku Y", nagle gorączkowa, telefoniczna rozmowa — „awaria w maszynach na sortowni!" Dyrektor techniczny, z którym prowadziliśmy rozmowę podrywa się gwałtownie i wybiega z pokoju. Sami dążymy w jego ślady. Na sortowni zamieszanie. Zatrzymały się wózki, odbijane z windy wyciągowej na nadszybiu, jest godzina 9 wieczór, okazuje się, że na terenie kopalni nie ma w tej chwili inżyniera od maszyn. Dyrektor techniczny, brygadzista z czołówki przemysłowej, który przejmował kopalnię „Bytom" tuż po przesunięciu się linii frontu — dawny robotnik, zakasuje sam rękawy. Twarz ma ściętą, wie, że nie można za żadną cenę wstrzymać na czas dłuższy wydobycia, jego kopalnia przecież zdobyła „sztandar pracy". Po godzinie koła wieży wyciągowej zaczynają się obracać, wózki na nadszybiu z trzaskiem kierują się do bębnów sortowni, przetaki rytmicznie potrząsają, zsypuje się węgiel do wagonów, na których przyklejona jest karta: „France".

Do późnej godziny siedzimy w prywatnym już mieszkaniu dyrektora Koćmy. Teraz już można swobodnie gawędzić, zdaleka dochodzi jednostajny, rytmiczny szum pracującej kopalni. Snuje się historia dziwna, historia prawie taka sama w dziesiątkach hut, kopalń i wielkich zakładów metalowych i włókienniczych. Rok 45. „Nasza czołówka składająca się z 18 osób przybyła na kopalnię, zastała tu kilkudziesięciu górników - autochtonów. Gdy zjechaliśmy pod ziemię z chodników wiało pustką, z każdego kąta czyhał niepokój, kroczyliśmy pochylniami z naganami w ręku. Rozpoczęła się straszliwa praca. Brak ludzi, brak urządzeń, brak najprymitywniejszych warunków dla normalnej, ludzkiej egzystencji. Po kilkunastu dniach mieliśmy pierwszy „urobek" Krzywa wydobycia z każdym miesiącem wzrastała."

* * *

Obywatelu Ministrze! Pan te sprawy zna najdogłębniej, nie potrzeba o nich nawet przypominać. Na trzecim Zjeździe Ziem Odzyskanych w Szczecinie powiedział Pan: „Dwa lata minęły od Pierwszego Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych, dwa lata od okresu, w którym uruchomienie setek zakładów pracy, fabryk, kopalń i hut z ruin i zniszczeń wojennych przy braku bazy aprowizacyjnej, przy braku normalnych warunków bezpieczeństwa, wśród chaosu administracyjnego — wydawało się zadaniem ponad siły najbardziej dotkniętego przez wojnę i okupację narodu".

Jaka była sytuacja nas, młodych pisarzy, gdy stanęliśmy wobec tego ogromu dokonywanej i dokonanej pracy. Co wybierać do uchwytu pisarskiego? Wciągał nas i osaczał tak bogaty splot zagadnień, że czuliśmy się po prostu bezradni w swojej funkcji obserwatorów. Wirowały przed nami sprawy — co ważniejsze byliśmy pod urokiem samych czynności produkcyjnych. Ale jak się dokonywała w nas ich percepcja?

Potężna huta „Julia" w Bobrku koło Bytomia czarowała nas nocą gejzerami ogni, kłębami naświetlonej pary i dymu: nocą huta dyszała, zacierały się jej kontury zdawała się wyrywać ku górze. Robotnicy na koksowni spuszczający „ładunek" z pieców koksowniczych, wyglądali w czerwonym żarze

---

Zofia Nałkowska

Ze „Zwierzeń"

(W związku z Wrocławskim Kongresem Intelektualistów)

Wojna ostatnia, tak w swej istocie i przebiegu odmienna od wojen dawnych, stanowi wciąż jeszcze materiał tematyczny dzisiejszej twórczości literackiej. Jest też czynnikiem, wyznaczającym jej uczuciowe napięcia i formalne środki wyrazu. Możnaby powiedzieć, że domaga się środków wciąż nowych — jakgdyby wszystkie dotychczasowe były wciąż nie wystarczające do oddania niezwykłości i wymiarów zjawiska.

Na to co się stało szukamy nazw. Ale dzikość i okrucieństwo, barbarzyństwo i zgroza — te nazwy są nie tylko oznaką niewybrednych środków wyrazu, są ponadto niedostateczne. Stanowią też nieścisłą diagnozę rzeczywistości.

Dzikość i barbarzyństwo nie były rzeczą nową w tej wojnie. Cechami, odróżniającymi ją od barbarzyństwa i dzikości wojen dawnych, zaskakującymi i wstrząsającymi przez swą nowość, były: naprzód jej oparta na ostatnich zdobyczach wiedzy czystej technika bojowa i statystycznie planowana śmiercionośność, powtóre — całkowita dla napastnika opłacalność, nawet rentowność imprezy, wreszcie staranna historiozoficzna i filozoficzna motywacja.

Akustyczność haseł, zrodzonych z bergsonowskiej intuicji i kultu podświadomości, zapewniła szeroki posłuch propagandzie, korzystającej umiejętnie ze zdobyczy psychologii doświadczalnej do szerzenia mistyki rasy i nadludzkich uprawnień indywidualności. Uroczyste palenie dzieł kultury, zarażonych intelektualizmem i humanitarnym nowatorstwem, miało zapewnić bezpieczeństwo władaniu tego systemu wierzeń na daleką przyszłość.

———

Nie wydaje się pożądane ani możliwe, by dzisiejsza twórczość literacka miała odrzucić wszystkie zdobycze pisarskiej umiejętności czasów minionych, by wyrzekła się — w przededniu wypracowania form nowych — całego stanu posiadania w zakresie techniki warsztatowej swego zawodu.

Ale trudno też przystać na to, że arcydzieła powieściowe sprzed lat stu z górą mają nadal stanowić jedyny i obowiązujący wzór dla dzisiejszego pisarza.

Te wskazania krytyki nie są szczęśliwe ani pod względem pedagogicznym, ani praktycznym. Urzeczywistnione bowiem uwalniałyby pisarza od szukania słów własnych do wyrażenia własnego ujrzenia rzeczy i skłaniały go do tworzenia dzieł epigonicznych.

Zostają ponadto w sprzeczności z prawami, ustanawiającymi łączność między pisarzem i jego czasem. I to właśnie w epoce przemian, gdy przeobrażają się kształty życia, a człowiek z największym wysiłkiem, w trudzie nieustannym i walce, stwarza nowe warunki dla jego kształtów wciąż doskonalszych.

———

Przebieg zjawiska, w którego zasięgu trwała Europa przez te lata, dostarczył pisarzom materiału tematycznego, jedynego w dziejach. Nic dziwnego, że nawet wbrew pragnieniom wydawców, nie mogą się nadal ustrzec przed jego fascynacją. Żadna dotąd epoka nie zadała im takiej paszy.

Ale rzecz nie ogranicza się do tematu. Epopeja hitlerowska, wstrząsnęła głęboko poczuciem bezpieczeństwa w ramach dotychczasowego urządzenia świata. Zagłuszyła muzykę sfer i melodię szeptów międzygwiezdnych, regulujących wskazania moralne ludzkości. To jest nie tylko temat, ale odkrycie.

Ta niezwykłych rozmiarów kompromitacja irracjonalizmu domaga się przywrócenia autorytetu myśli, a bezprzykładne bezprawie — rygorów moralności ludzkiej.

Wydaje się rzeczą zrozumiałą, że w czasach zagrożenia prawa człowieka zawsze intelektualiści i pisarze łączyli się w proteście i akcji przeciwko wojnie.

———

Obeznanie się bliższe z całokształtem młodej, dzisiejszej twórczości nie odkrywa dążenia do realizmu, a ambicje oddania w jednym dziele c a ł e j rzeczywistości są raczej wyjątkiem. I nie na tym zdaje się polega nowoczesność i „postępowość" dzieła, jego wartość socjalna. Wiemy wszyscy, czemu zdarzało się służyć najbardziej wzorowym egzemplarzom powieściowego realizmu.

Dopiero zespół dzieł danej epoki jest — niezależnie od tego, czy tak chcemy, czy nie — tej epoki całkowitym, literackim odbiciem. A obraz powinien być tym bogatszy, im bardziej różnorodne w tematyce i barwie formalnej są poszczególne dzieła. Im bardziej wyłamany z rzeczywistości temat leży w kompetencji pisarza, to znaczy — im bardziej jest autentyczny.

Pisarz podobny jest raczej nie do pianisty, grającego na gotowych klawiszach, tylko do skrzypka, który w czasie gry bezustannie wyznacza tony strunom, przyspasabiając swój instrument do natury muzyki. To temat określa formę, nie „mocne postanowienie" pisarza.

Młoda twórczość dzisiejsza daje nam bogatą relację zbiorową z przeżytego czasu. W nurtach ideologicznych, przenikających tę twórczość, można wyodrębnić dwa motywy równoległe. Jeden podejmuje zagadnienia moralne w ich planie socjalnym, jako odpowiedzialność człowieka wobec człowieka i zespołu ludzkiego. Drugi wyraża postawę poznawczą, intelektualną, stawia diagnozy. Oba wydają mi się ściśle związane z przeżywaną epoką i przez nią, że tak powiem, zdeterminowane.

jak mityczni bohaterowie w kuźni Hefajsta. Przy martenowskich piecach twarze ich w czerwonym żarze wylewającej się stali były czujne i surowe, ruchy odmierzone, ciała jakby sprężone.

Na podszybiu kopalni „Bytom", gdy robotnicy stali tłumem przed windą wyciągową, widzieliśmy tylko masę ciemnych sylwet: kombinezony, hełmy górnicze i jednakowo unurzane pyłem węglowym twarze. Chodniki grały przed nami światłami wahadliwych latarek górniczych, czuliśmy pod ziemią krążącą wodę podskórną, dreszcz nas przechodził, gdy mówiono nam, że na tej a na tej pochylni jest za ścianą ogień. Na przodkach widzieliśmy tylko nagie, ociekające potem torsy rębaczy i ładowaczy. Podziemie huczało nam w uszach wagonikami, naładowanymi węglem. Człowiek jako indywiduum tu nagle znikał. Działała na naszą wyobraźnię sama kopalnia, ale oglądaliśmy ją, wchłanialiśmy w tych kategoriach, jakie przekazywała nam nasza kultura literacka. Przyłapywaliśmy się na tym, że tak widzieć kopalnię można było i przed dwudziestu laty. Czym więc mamy podzielić się z naszym czytelnikiem? Jak konstruować nową wizję, z której wynikałby jakiś nowy, adekwatny dla ustroju sens pracy produkcyjnej.

* * *

Ziemie Odzyskane wydały nam się wielką księgą epopei pracy, chodziło o to, aby umieć pokazać, w jakim systemie ta praca się dokonywała. Jakie tu należało perspektywy wykreślać? Na jakich przecięciach dnia „chwytać" robotnika? Jakie dać świadectwo jego pracy i jak pokazać mu równocześnie sytuację, w której się znajduje? Mieliśmy do dyspozycji narzędzia bardzo wątłe. Szpalty gazet ciągle są przepełnione zdaniami o zdobyczach socjalnych klasy robotniczej, o jej gospodarzeniu państwem. Niewątpliwie słusznie. Faktem jednak jest, że robotnik w swojej masie jeszcze nie rozumie, jaką pozycję zajmuje dzięki nowemu ustrojowi. Nie rozumie może tego jeszcze przy samym warsztacie produkcyjnym. Nie tu więc może szukać należy rozwiązania problemu. Może właśnie robotnik oglądany w domu partyjnym, w świetlicy zakładowej, na naradach produkcyjnych, da nam klucz do odcyfrowania jego właściwej funkcji. Sprawą chyba najpilniejszą dla pisarzy byłoby pokazywanie świata pracy właśnie na tych nowych przecięciach. Nie wystarczy wzbudzenie entuzjazmu do współzawodnictwa pracy, należy uprzytomnić robotnikowi, jakie znaczenie dla jego państwa mają owoce tego współzawodnictwa. Należy wzbudzać w nim entuzjazm dla pogłębiania swojej fachowej wiedzy. Dlatego słusznym wydaje mi się Pański pogląd, wypowiedziany w artykule: „Węzłowe zagadnienia naszej polityki gospodarczej". Mówi Pan: — „Mamy zaufanie do zdolności i kwalifikacji polskiego robotnika i technika, ale stwierdzamy palącą konieczność zmiany form popierania ruchu wynalazczości i usprawnień, przede wszystkim w dziedzinie wynagrodzenia nowatorów i wynalazców, w dziedzinie ochrony prawnej i opieki nad wynalazcą, oraz w dziedzinie popularyzacji techniki i nowatorów produkcji i wzbudzenia żywiołowego zainteresowania młodzieży dla postępu technicznego i zawodów technicznych". („Nowe Drogi" Nr 9).

Jakże słusznie, Obywatelu Ministrze! Wynalazca izolatora w kopalni „Bytom" powiedział do mnie: „Dostałem 1.000 zł premii, ale zdałoby się więcej, tak bardzo pragnąłbym sobie kupić jakieś popularne książki techniczne, tak bardzo chciałbym więcej czytać, na to trzeba mi pieniędzy".

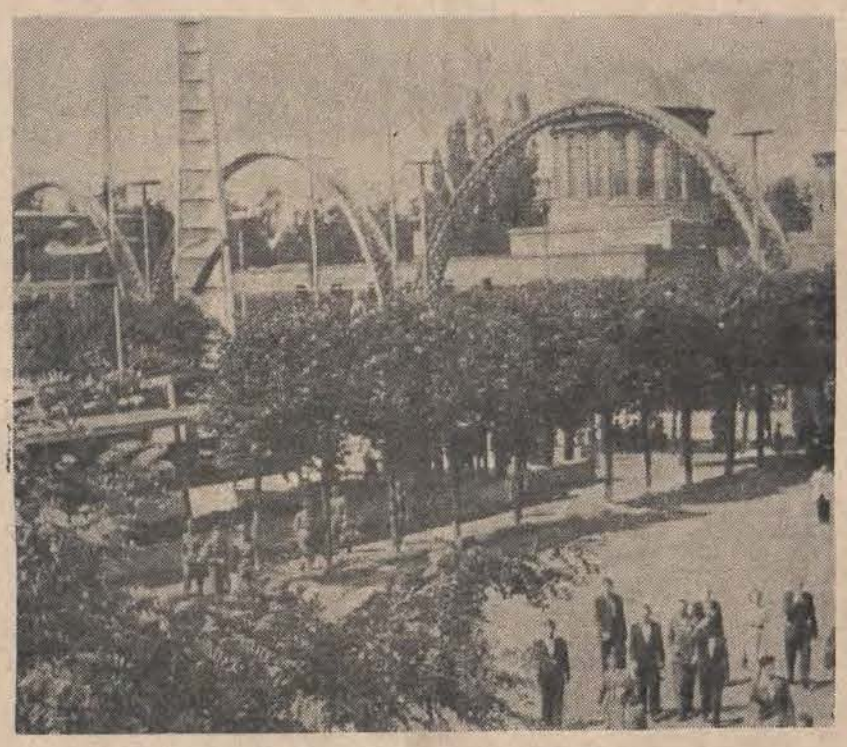

Z Wystawy Ziem Odzyskanych

* * *

Jedną z największych zdobyczy nowego ustroju jest szeroko rozbudowana sieć szkół przemysłowych i szkół przysposobienia przemysłowego. Tam właśnie kształcą się przyszli technicy. Z sita tych szkół otrzymamy ludzi prawdziwego entuzjazmu dla postępu technicznego. Mają oni szanse prawidłowego, bezpłatnego kształcenia się aż do piętra najwyższego. Żaden talent o technicznych dyspozycjach dziś w Polsce nie przepadnie. Kto się kształci w tych szkołach? Synowie drobnorolnych chłopów z przeludnionego jeszcze rzeszowskiego, dzieci gospodarzy ze zniszczonych przyczółków: kieleckiego i warszawskiego, kształcą się tam synowie robotników, a nawet i dzieci ze środowiska drobnomieszczańskiego.

Oglądaliśmy szkołę zawodową, związaną z Zakładami Pafawagu. Około 1000 uczniów. Bursy. Świetnie zorganizowane warsztaty dla praktyki zawodowej na miejscu, a prócz tego praktyka w Państwowych Zakładach Wagonów. Możliwie najlepszy skład profesorski. Gdy już był pełny komplet uczniów, gdy miejsca w bursie wypełnione do ostatniego, przed dyrektorem szkoły w godzinach rannych jesiennego dnia stanął 14-letni chłopak z węzełkiem na plecach; twarz miał zszarzałą, oczy zaczerwienione, liche ubranko mocno pogniecione i zakurzone. Przywlókł się dopiero co z dworca, gdzie spędził noc. Na zapytanie, czego sobie życzy, odpowiedział— przyszedłem zapisać się do szkoły. — Dyrektor rozłożył bezradnie ręce — nie ma już miejsc, człowieku. — Chłopak czupurnie się zjeżył, mówiąc — do domu już nie wrócę, musicie mnie przyjąć. — Ten malec przyjechał spod białostockiej wsi. Sierota. Na bilet złożyła mu się gromada wiejska. Chłopak dziś się uczy. Nie ma u nas miejsca na powtórzenie się sytuacji Prusowego Antka. Wygląda to na efektowny chwyt propagandowy. Czy można dyrektorowi wierzyć na słowo? W czasie zwiedzania Wystawy Z. O. wpadłem któregoś dnia na dworzec, by szybko nadać korespondencję do redakcji. Na hali dworcowej zastałem gromadkę młodzieży. Zainteresowany podchodzę do nich i pytam: kim są i skąd? Uczniowie ze Szkoły Przysposobienia Przemysłowego Nr 7 w Elblągu. Szkoła liczy około 600 uczniów. 75 proc. ze wsi, przeważnie z rzeszowskiego. Jeden z uczniów — Szczupiel Jan opowiada mi o sobie — pochodzi ze wsi Budziwór o 6 km od Rzeszowa. Z jego wioski jest 6 chłopców w szkole, synowie drobnorolnych, od 2 do 3 ha. Rodzice Szczupiela mają 2,5-morgowe gospodarstwo, w domu siedmioro rodzeństwa. Chłopak mówi, że ciągnęło go coś w świat, chciał się czegoś nauczyć, coś poznać, chciał stać się człowiekiem.

* * *

Powracam do grupy pisarzy chłopskich, która w roku ubiegłym wyjechała na Ziemie Odzyskane, by przywieźć stamtąd reportaże dla redakcji. Reportaże nie zostały napisane, a właściwie były pisane w jak najcięższym trudzie i do dziś spoczywają w biurku redakcyjnym. Nie znaleźliśmy właściwego języka, by wyrazić to wszystko, co oglądaliśmy na Ziemiach Odzyskanych. I tu staje problem pisarstwa, które by potrafiło sprostać nowej rzeczywistości. Kazimierz Koźniewski w pięknym artykule: „Ziemia pisarzy" mówi: „...tok codziennej pracy stał się już tak normalny, jak w całej reszcie Polski. Dyrektorzy nie wybiegali już gościom naprzeciw i odwiedzający nie byli już mile widziani w tysiącznych zakładach przemysłowych: naruszali oni porządek zajęć, deranżowali zupełnie niepotrzebnie pracowników, wnosząc ze sobą rozgwar hałaśliwego entuzjazmu i podziwu, który nikomu nie był już tutaj potrzebny. Wzruszenia przygodnych pochwał w pełni zastąpione zostały krzywą, narastającą z każdym dniem — statystyki wykonanych przedmiotów, wykopanych ton węgla i metali... Gorączkowo skakały ku górze cyfry przemysłowej produkcji, one to stawały się najistotniejszym elementem w ocenie wartości i dorobku Ziem Odzyskanych... Praca reportażysty stawała się coraz trudniejsza. Nie mógł on już ślizgać się po powierzchni zjawisk, gdyż wtedy swoim czytelnikom nic by istotnego o sprawach Zachodu nie powiedział. Sięgać musiał do rdzenia zjawisk oglądanych — a rdzeniem tym były cyfry. Cyfry, które w ciągu dwóch lat podskoczyły od zera do pozycji milionowych, odzwierciadlały najpełniej czas przeżywany. Dziennikarza zastąpił statystyk. On tylko potrafił wystawić pomnik ludziom tutaj mieszkającym i tutaj pracującym" („Nowiny Literackie" Nr 30 (71).

Czy tylko jednak tyle? Dziennikarz zrobił swoją robotę i robi ją nadal, winien przyjść pisarz. Czy jednak pisarzowi wystarczyłoby wgryźć się w cyfry? Wydaje mi się, że problem jest inny. Chodzi mianowicie o zmianę narzędzi pracy pisarskiej, narzędzi w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. Jest nim zdobycie wiedzy, niewątpliwie, ale to jeszcze nie wszystko. Na osobowość pisarską składa się cała dotychczasowa kultura literacka, jaką nosimy w sobie. Trudno dokonuje się przebudowa wewnętrzna robotnika, nie mniej trudno dokonuje się przebudowa wewnętrzna pisarzy. W innych warunkach przychodzi nam dzisiaj tworzyć, a w innych zupełnie byliśmy kształtowani. Tacy, jacy dzisiaj jesteśmy z naszymi kategoriami myślenia, czucia i widzenia zostaliśmy urobieni przez strukturę kulturową systemu liberalno-kapitalistycznego, systemu obcego dzisiejszym czasom. Proces rozumienia dziejącej się historii zachodzi daleko szybciej niż nabycie umiejętności właściwego jej widzenia i odczuwania. Stąd płynie nienadążanie literatury w stosunku do rzeczywistości, literatury, która chciałaby być wierna tej rzeczywistości, literatury, która zdołałaby dawać „całości" artystycznie umotywowane i wiernie kwitujące procesy dokonujących się przemian, przemian przede wszystkim człowieka.

Zdać sobie w pełni sprawę z tradycji, w jakich się wychowywaliśmy, to osiągnąć warunek dla nowego pisarstwa. Krytyka literacka mało dotychczas twórcom dopomogła w tej sprawie. Nie mamy żadnych prac krytycznych, które by oświetliły przy pomocy jakich chwytów artystycznych pisarze rozgrywali problemy gospodarcze w literaturze, problemy pracy i jej aktora — proletariat robotniczy. Przede wszystkim nie mamy żadnych naświetleń, które by pokazywały, co determinowało taki a nie inny typ widzenia rzeczywistości. Młode pokolenie międzywojenne rocznika 1910—1915 kształtowała określona literatura. Uczyliśmy się patrzeć na świat oczami Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, Reymonta, oczami Kadena-Bandrowskiego, Morcinka; rozszerzaliśmy później naszą widzialność „Skamandrem" a dalej „awangardą". To, co się działo na terenie literatury radzieckiej, docierało tylko do bardzo ograniczonego kręgu czytelników. Katajew czy Ostrowski był znany tylko koneserom. Obywatelu Ministrze! Wydaje mi się, że tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego pisarze chłopscy nie wywiązali się z podjętego zadania, tu można znaleźć odpowiedź, dlaczego reportaż współczesny nie jest zdolny stanąć twarzą w twarz wobec dokonującej się w nowej Polsce pracy. Niżej podpisany postara się w miarę swoich możliwości na to pytanie odpowiedzieć. (C. d. n.)

Leonard Sobierajski

Tadeusz Drewnowski

Po Kongresie ZAMP

NAJLEPSZE TRADYCJE

Poprzez Kongres Zjednoczeniowy we Wrocławiu można dojrzeć wielki kawał historii. Perspektywy wglądu w historię, powoływanie się na nią, stwarzały atmosferę wielkości. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Kongres jest dla postępowego ruchu studenckiego historyczny.

Gdy padł wniosek o zjednoczenie czterech organizacji studenckich, ich przedstawiciele deklarowali stanowisko swoich organizacji. W każdej deklaracji były słowa: wnosimy do wspólnej organizacji nasze najlepsze tradycje. W żadnej deklaracji nie zabrakło historycznej części, która pozwoliła zrekonstruować zarysy dziejów studenckiego postępowego ruchu.

„Nasza tradycja, historia naszej organizacji — mówi reprezentant ZMD, kol. Szatkowski — od Sekcji Młodych Stronnictwa Demokratycznego przed wojną, poprzez Ruch Młodej Demokracji podczas okupacji i powojenną działalność w ramach ZMD wskazują, że jednym z najważniejszych zadań było budowanie jedności postępowej młodzieży polskiej. Sekcja Młodych Str. Demokratycznego z młodzieżą ludową, socjalistyczną i komunistyczną walczyła z sanacją i Ozonem, walczyła z ONR-em i Endecją. We wspólnych akcjach przeciwstawialiśmy się terrorowi bojówek faszystowskich na wyższych uczelniach. Wspólnie walczyliśmy z hańbą ghetta ławkowego, wspólnie manifestowaliśmy nasze przekonania w pochodach pierwszomajowych".

„Założony w 1922 roku ZNMS — mówi przedstawiciel tej organizacji, kol. Zawadzki — stał się w niedługim czasie kuźnią lewicowego socjalizmu, skupił tych, którzy odgrodzili się wyraźnie od wpływów reformizmu nurtujących w polskim ruchu socjalistycznym, a w szczególności w jego kierownictwie. Już w tym okresie członków naszego związku cechowała właściwa rewolucyjna postawa nieznosząca zgubnych kompromisów. Świadczą o tym deklaracje ideowe tamtego okresu, rezolucje corocznych zjazdów Związku, roczniki przedwojennych „Płomieni", świadczą również wyniki nierównej walki z wstecznymi elementami na wyższych uczelniach.

Członkowie ZNMS zaczęli już w pierwszych miesiącach po klęsce wrześniowej brać udział w życiu konspiracyjnym i w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne... Byli oni uczestnikami walk prowadzonych przez Gwardię Ludową, walczyli w szeregach AL, PAL, AK i odrodzonego Wojska Polskiego, współtworzyli Socjalistyczną Organizację Bojową, współpracowali w tajnych wydawnictwach, wydawali własny tajny organ. Podczas tej pracy i walki zginęli czołowi aktywiści — Stanisław Dubois, Leszek Raabe, Włodzimierz Kaczanowski, Stanisław Hudoba i wielu innych"

„AZWM „Życie" z dumą wnosi — oświadcza kol. Altman — tradycje walki przedwojennego „Życia", które świadomie wiązało swą walkę o wolność człowieka, o rozwój nauki, kultury i twórczej myśli ludzkiej z walką klasy robotniczej i mas ludowych o prawa polityczne i wyzwolenie społeczne. To właśnie z szeregów OMS „Życie" wyszli nieugięci bojownicy o prawa ludu polskiego — Janek Turlejski i Hanka Sawicka. W szeregach konsekwentnego, wolnościowego ruchu robotniczego, prowadzącego naród polski do niepodległości trwali do śmierci na posterunku godnym studenta polskiego „Życiowcy": Franek Zubrzycki, dowódca pierwszego oddziału partyzanckiego Gwardii Ludowej, Hanka Sawicka, Janek Krasicki, Lucyna Herc, porucznik I Armii Wojska Polskiego, partyzant ziemi lubelskiej, Nowicki członek Sztabu Armii Ludowej powstańczej Warszawy.

Wierni swym tradycjom chcemy wnieść do Związku Młodzieży Polskiej swe najlepsze doświadczenie z pracy, ofiarność i zdyscyplinowanie „Życiowca", nieugiętą postawę bojownika o ostateczne zwycięstwo idei wyzwolenia człowieka spod ucisku społecznego i niewiedzy".

Wiciowiec, kol. Janczak, mówi, że „wspólny jest nasz marsz do dobrobytu i kultury. Ze spokojem spoglądamy na osiągnięcia 30-letniej pracy ruchu wiciowego. Uczyliśmy się na jego klęskach i na błędach, na bezgranicznym poświęceniu i oddaniu sprawie, na wytrwałości i pewności zwycięstwa. Nie uronimy nic z ich osiągnięć, co nie byłoby sprzeczne z interesem mas ludowych, uczynimy wszystko, by ugruntować to, o co oni walczyli — ustrój bez wyzysku. Z przeszłości spoglądamy w przyszłość. Nie idziemy już sami. Interesy chłopa są dziś interesami robotnika, są interesami wszystkich ludzi pracy".

Oto mamy przed sobą najogólniejszą mapę dróg młodych pokoleń, które wiodły do jednego celu. Kongres Zjednoczeniowy jest punktem, w którym się one spotykają. Wytworzyły się obiektywne warunki państwa ludowego, które pozwoliły zrównać i zjednoczyć młode szeregi.

W gąszczach tradycji zdumiewały konsekwentne i omal równoczesne etapy rozwoju ruchu — pod rozmach historii.

ETAPY JEDNOCZENIA

Na Kongresie w większości spotkali się działacze zjednoczeniowi. W myśl uchwały Kongresu oni — w pierwszym rzędzie — powinni wejść do władz Związku Ak. Młodzieży Polskiej.

Ale tradycje jednościowe w ruchu studenckim są znacznie dawniejszej daty. W okresie dwudziestolecia młodzież demokratyczna walczyła wspólnie przeciw wybujałemu nacjonalizmowi i rasizmowi. Już w tym okresie pomimo formalnych odrębności rodziła się jedność działania. Stężała ona w trakcie okupacji, gdy walka o narodowe i społeczne wyzwolenie przysłaniała całe nasze życie.

Od pierwszych chwil po wojnie zaczęła się ścisła współpraca między organizacjami młodzieżowymi. Ideę współpracy realizowano na codzień. Wkrótce Akademicki Związek Walki Młodych „Życie" i Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej zawarły umowę o jedności działania. Dalszy etap na drodze jedności — to Akademicka Komisja Jedności Działania Organizacji Demokratycznych. Cały ciąg logicznych następstw. Cała droga likwidowania jakichkolwiek przeciwieństw we wspólnej praktyce. Już wówczas w środowiskach akademickich rozgorzały dyskusje nad zjednoczeniem organizacji.

Wreszcie w dniu 21 kwietnia br. w wyniku wspólnych obrad władz naczelnych czterech organizacji powołano Centralny Komitet Jedności i polecono mu „przygotować Kongres Zjednoczeniowy Komitetu Jedności na wszystkich szczeblach organizacyjnych".

Były to etapy zespalania coraz ściślejszego organizacji młodzieżowych. Obecne zjednoczenie nie jest mechanicznym zsumowaniem kartotek członkowskich. Tworzymy jedność twórczą, w której nowy układ ludzi i programów wyzwala nowe rewolucyjne siły młodzieży.

NOWY WZÓR

Przewodniczący ZAMP Zenon Wróblewski wyliczył i omówił szeroko kilka głównych zadań, jakie stoją przed nową organizacją. Wokół nich krążyła wielogodzinna dyskusja. Szczególnie wiele uwagi poświęcono etyce członka naszej organizacji.

Zarzucają nam, że nie mamy własnej mo-

ralności. Jeśli za jedyną moralność uznać dziesięcioro przykazań, to racja, że my takiej moralności nie posiadamy — mówił w dyskusji kol. Turski z Wrocławia. — Nasza moralność — jest moralnością budowniczych sprawiedliwego ładu, a nie ludzi, którzy kultywują wewnętrzne pięknoduchostwo. Nam jest najbardziej wroga wyrafinowana kultura blichtru, przerażenia wobec rzeczywistości, kosmicznego strachu — te wszystkie ostatnie mody francuskiego i amerykańskiego rynku. I ci, którzy się boją, którzy temu strachowi dają wyraz w dekadenckiej sztuce, sartrowskiej literaturze — mają rację. Bowiem poza ruchem odrodzeniowo-społecznym nie ma zbawienia dla upadających klas starego świata.

Jaśniepańska wyższość moralna cechowała studenta wychowanego na przerafinowanej kulturze epoki kapitalizmu — formułuje kol. Zenon Wróblewski. — Temu dawnemu typowi studenta przeciwstawiamy wypracowany w walce nowy wzór budowniczego kraju, nowego inteligenta, którego cechować będzie ludowy patriotyzm, optymizm społeczny, umiłowanie wiedzy i aktywna postawa wobec otaczającego świata, poszanowanie dla człowieka pracy i samej pracy, która stwarza bogactwa i jest miernikiem wartości jednostki. W niej odzwierciedla się nurt wewnętrzny i wytrwałość. Wydaje nam się, że tylko taka postawa może zapewnić prawdziwą radość życia płynącą z rzeczywistego w nim uczestnictwa. Czyn podjęty dla ogółu, z całą świadomością jego prawdziwej społecznej treści, to najważniejsze przykazanie nowej społecznej moralności.

MŁODZIEŻ — ŹRENICĄ OKA NOWEJ POLSKI

Minister Skrzeszewski witając Kongres Zjednoczeniowy Organizacji Studenckich przedstawił walkę, jaką demokracji ludowej przyszło toczyć o młodzież.

„Po młodzież, po serce i mózg młodzieży, a zwłaszcza młodzieży akademickiej wyciągnęły się i wyciągają łapczywe ręce wrogów nowej Polski. Czyniło to podziemie. Czyniło to mikołajczykowskie PSL. Obecnie nie rezygnują z tego inne wrogie nam czynniki, maskując się często pozornie najbardziej niewinnymi lub świątobliwymi hasłami. Walka klasowa w Polsce trwa. Nie słabnie jej nasilenie, nie zmniejsza się jej ostrość. Wróg klasowy nie poddaje się bez walki. Bramy wyższych uczelni nie są dla niego przeszkodą. W tej walce sprawa światopoglądu, znajomości celu, umiejętności rozpoznania wroga klasowego, stosowania właściwych środków działania, jest szczególnie ważna. Młodzież musi widzieć toczącą się w Polsce walkę, musi pojmować jej sens i oceniać uczestniczące w niej siły z punktu widzenia interesów nowej Polski, interesów całego narodu. Musi się uzbroić w ideologiczny oręż światopoglądu dla skutecznego udziału w wielkiej bitwie o socjalistyczne jutro Polski".

Batalie o młodzież nie ustają. Na wrocławskich kongresach młodzieżowych Polska Ludowa odniosła ogromne zwycięstwo w bitwie o młodzież. Na wrocławskich kongresach młodzieżowych rozstrzygnęły się losy całego młodego pokolenia, którego akademicki zastęp świadomie kontynuuje tradycje stowarzyszeń związanych z klasowym ruchem robotniczym, chłopską lewicą, inteligenckim radykalizmem.

NAPRZÓD MŁODZIEŻY ŚWIATA

Naokoło auli politechniki pęki kolorowych sztandarów narodów, których młodzież przynależy do Międzynarodowego Związku Studentów. Na balustradzie chóru zapewnienie o międzynarodowej solidarności studentów: Budujemy pokój i lepsze jutro w szeregach MZS. Nie jesteśmy sami. O tym zapewniali nas delegaci zagranicznych demokratycznych organizacji młodzieżowych. Gdy na trybunę wchodzą przedstawiciele zagranicznej młodzieży jak żywioł szaleje entuzjazm. Kolega Grohman, przewodniczący MZS jest bardzo swobodny. Wskakuje na trybunę, nie może mówić, zanim nie skończą się żarliwe oklaski. Anglik Watkins z Angielskiej Federacji Pracy, której kilkakrotnie prosił, aby nie mieszać z rządzącą Partią Pracy, chodzi w rozpiętej marynarce, niedbale związanym krawacie, z fają Stale pochyla się do tłumacza.

W przemówieniu podkreśla, jak załgana jest w jego kraju wiedza o Polsce. Oni wszystko zrobią, aby Anglicy znali prawdę o Polsce. Mówi o specyficznej sytuacji społecznej na wyspiarskiej Anglii, która komplikuje obraz zmagań klasowych. Wreszcie przy wielkich oklaskach — mówi, że nie ma granic między Wschodem a Zachodem, a właściwe granice dzisiaj można dostrzec między tymi, w których interesie leży nowa wojna, i obrońcami pokoju. Dziś sprawa pokoju i wojny stała się wskaźnikiem dla bliższych rozróżnień.

Przedstawiciel węgierskiej młodzieży, redaktor młodzieżowego pisma, smagły chłopak w drelichowym ubraniu, referuje dorobek ich postępowych organizacji. Zdumiewa, jak podobna była ich i nasza walka o demokratyzację wyższych uczelni, o zjednoczenie młodzieży pod postępowymi sztandarami. I Bułgarka stwierdza, że tylko dzięki zgodnemu działaniu bułgarskiej młodzieży możliwe były rezultaty, które osiągnęli. Życzy nam prawdziwej jednomyślności i współdziałania.

Wielekroć w trakcie zjazdu intonowano hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej — „Naprzód młodzieży świata..." Później jego melodia nie schodziła z ust. Przypominaliśmy sobie różnojęzyczne refreny wspólnej pieśni. W czasie dwóch dni pozawiązywały się stałe kontakty uśmiechów i przyjacielskich słów, poza którymi chowała się przez każdego odczuwana i rozumiana walka o solidarność postępowej młodzieży świata.

Tadeusz Drewnowski

Anna Kamieńska

„INTELIGENT CHŁOPSKI" — BEZ DOGMATU!

1. BEZ DOGMATU

1. Ordynarny niemiecki sługus, folksdojcz i prostak — rozmawia w nocy z gospodarzem domu, w którym zamieszkał ze swym panem. Opowiada swoje perypetie życiowe:

„Podległ prawu pospolitej przemiany wewnętrznej, opartej na emocjonalnym poruszeniu. Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie umiał analizować uczucia nostalgii — widział tylko siebie samego jak gdyby dwa razy i widział własny kraj w dwu wartościach. Przeważyła szalę obawa przed kompromitacją ojczystego państwa". („Dwie krople krwi").

2. Franek Kowalczyk — kapral, zamiłowany strzelec zżyma się na przegraną wojenną po wrześniu 1939 roku:

„Zburzyły się w nim jakieś ostateczne wiązania. Pękły jakieś obrecze, spinające świat przeżyć i doznań. Wychodził sam z siebie". („Grzymalita").

Istnieje w naszej współczesnej twórczości i krytyce literackiej kompleks inteligenta. Niezależnie od stopnia historycznego uzasadnienia, wynika on niewątpliwie z pewnej jednostronnej, literackiej konwencji inteligenckości, na którą złożyły się i własne, polskie „niedorozwoje" i zagraniczne, ściślej — zachodnie — snobizmy. Trudno, u podstaw prozy Brandysa rozładowującej, jak stwierdzili krytycy, kompleks inteligencki, prozy Dygata a nawet Hertza widzimy tyleż Prousta co rodzonego Sienkiewicza z jego „Bez dogmatu". Nie wypada się wypierać rodziny.

Oczywiście, nie obchodzi nas w tej chwili pochodzeniowa, rodowa chłopskość autora „Wyżynki". Opowiadania*) Teodora Goździkiewicza są chłopskie ze względu na środowiskowe zainteresowania autora. To chłopskie (w powyższym sensie) pisarstwo nurtuje coraz wyraźniej choroba „bez dogmatu". Wydaje się, że ma ona ogólniejsze, kulturowe znaczenie, że jej objawy, które spróbujemy prześledzić na przykładzie Goździkiewicza, były już odkrywane i w ruchu młodzieży wiejskiej i w Uniwersytetach Ludowych i w robocie oświatowej na wsi.

2. INTELEKTUALIZM POZORNY

O czym świadczą przykłady, przytoczone na wstępie?

Teodor Goździkiewicz dokonuje na wielu swoich postaciach literackich przykrej operacji. W krzepkie mieśnie swoich „chamów" wstrzykuje bakcyla dekadencji, katastrofizmu, „psychologii", zaraża inteligentem.

Poruszenia bohaterów gęsto interpretuje Goździkiewicz nieadekwatnym, niewspółmiernym z wizerunkiem osoby komentarzem „od siebie". Gdy zaś występuje jako narrator w pierwszej osobie — przedstawia siebie właśnie jako inteligenta, nie rzadko z przymiotnikiem „chłopski". „A w swojej wsi, ja tylko jestem taki jeden". („Dwie krople krwi").

Goździkiewicz — przeprowadzający anegdotę, rysujący przeważnie żywe, poruszające się zręcznie postaci — to nie ten sam Goździkiewicz, który analizuje, rezonuje, objaśnia. Wierzymy Goździkiewiczowi opowiadającemu, nie ufamy „filozofującemu". Czy słusznie?

Każdy pisarz zajmuje wobec materiału swojej narracji określoną postawę, nawet jeśli pozornie nie interweniuje w akcji opowiadanej. Ta poza pisarska jest dość ważna, ze względu na ideologię i „rodzinę" literacką. Nasz pisarz w omawianych opowiadaniach przybiera przeważnie pozę — intelektualisty i manifestuje ją nie tyle przez swój język, jego składnię i rytm, nie przez rysunek postaci, lecz po prostu przez rezonerstwo odautorskie. Goździkiewicz nieszczęściem dla swego niewątpliwie lekkiego i pracowitego pióra obarcza się niemal obowiązkiem wewnętrznego rozdarcia i sceptycyzmu. Wprawdzie opowiada nam prof. Chałasiński w swojej książce „Społeczeństwo i wychowanie", że intelektualiści amerykańscy oskarżali nauczycielstwo swojego kraju o prostactwo umysłowe, właśnie wskutek braku koniecznej dla człowieka kultury szczypty sceptycyzmu. Ale czymś narzuconym i żałosnym wydaje się przekonanie, że nawet odrobina tzw. kultury — powinna uwierać. A to przekonanie żywi narrator w każdej prawie noweli Goździkiewicza. Jasne jest, że pozę narratora należy traktować jako element fikcji literackiej, toteż zarzuty wytoczone tu Goździkiewiczowi są w pierwszej instancji artystyczne, dopiero potem ideologiczne.

„Typy idealistów, pięknoduchów, intelektualistów (jak ja) — czytamy w noweli „Rumieniec historii" — dzięki warunkom bytowania, stworzonym przez tę wojnę, typy chodzące samymi szczytami ludzkiej myśli, musiały się przeistoczyć w jaskiniowców — żeby przetrwać, obniżyć swój lot — żeby przeżyć. Typy zaś prymitywne wiodące żywot prosty, awansowały niepomiernie wysoko. Urosły do poziomu obrońców ojczyzny". Autor zdaje się podzielać tę opinię.

Model inteligenta — intelektualisty, jaki Goździkiewicz przeciwstawia „typom prymitywnym", jest zaczerpnięty z wzoru dekadenta, z wzoru „zgniłego inteligenta". Wojna dała temu inteligentowi okazję do konfrontacji jego postawy z rzeczywistością, przyczyniła mu nawet nieco kłopotów moralnych, ale dostarczyła też materiału do banalnych refleksji i aforyzmów historycznych.

*) Teodor Goździkiewicz. „Znaki czasu". „Książka". Warszawa. 1948.

Narratorzy Goździkiewicza żyją okruchami literatury, reminiscencjami z dziedziny sztuki i nauki, zdaje się, że są snobami. Książka w domu jest oczywiście symbolem kultury. Nieco żartobliwie traktowany bohater noweli „Kradzież" — przeżywa perypetie moralne właśnie jako inteligent: „Nie, nie wypada... ja, inteligent wychowany na Ibsenie i Żeromskim, mam postąpić jak człowiek prosty, który potrafi mówić różaniec i paść krowę w koniczynie sąsiada, rad, że spełnia za jednym zamachem dwa dobre uczynki..." I tu znowu znajdujemy charakterystyczne rozróżnienie: **inteligent — prostak.** Tym wyraźniej inteligenckość jest tu pozą, maską, że postacie działające mimo swoich katastroficznych refleksji na temat wojny są pełne krzepy, zarysowane przez autora energicznie, niemal marionetkowo, co nadaje im trwałość, reprezentatywność małych mitów. Taki jest i Jaś „Na pastwisku" i Franek „Grzymalita" i Andrzej Walczak ze swoim pięknym i zdrowym ciałem.

Robotnicy z TUR-u, autorzy życiorysów z książki „Robotnicy piszą" wyrażają często szczególne zainteresowanie dla nauk przyrodniczych, astronomii i fizyki. Te same nauki w literackiej, shumanizowanej formie były pożywką przedwojennych Uniwersytetów Ludowych, służyły do wzbudzania czci i zachwytu dla wiedzy ludzkiej, nastrajały na wyższy ton młodzież wyszłą ze środowiska, którego treść życia była przyziemna, niemal czysto ekonomiczna i biologiczna. Oszałamiające perspektywy otwierające się w wykładach na temat wszechświata, czasu, początku życia i t.p. w istocie apelowały nie do intelektu, lecz do jakichś uczuć **typu religijnego.** Na gruncie takiej wiedzy i dyletanckich emocji łatwo powstają sądy o świecie i historii, syntezy i prawdy ubierane w formę niesprawdzalnych aforyzmów. Aforyzmy tego typu są częste w prozie Goździkiewicza. W noweli „Skrzyżowanie" dał im autor właśnie tego typu „naukowe" marzenie za podłoże. Ukrywającą się dziewczynę — konspiratorkę nawiedza wizja astronomiczna Ziemi i Marsa. „Są w ruchu — odwiecznym toczą się trybem po torach wyznaczonych przez czas, magnetyzm i siłę inercji" itd. itd. „Jest to jakby gigantyczna zabawa szczegółów makrokosmosu, w którym pyłek zwany człowiekiem nie ma żadnego znaczenia".

Ten rodzaj „intelektualizmu" trudno już opatrzyć przymiotnikiem inteligencki, raczej właśnie ze względu na jego obecność w robocie oświatowej—przyda się słowo: ludowy, tak, jakby można socjologicznie interpretować sam „intelektualizm".

3. OBOWIĄZKOWY PSYCHOLOGIZM

Goździkiewicz nawet swoim zgrabnym marionetkowym postaciom każe przeżywać na sposób analizującego bohatera „Bez dogmatu", jak to widać z obu wstępnych przykładów. Tzw. głębokie przeżywanie, wewnętrzne grymasy — składają się na wzór psychologiczny nałożony tu porówno na wszystkich—i „inteligentów" i „prostaków" Autor wie o swoich postaciach jakby zbyt wiele, więcej niż one same, więcej niż to jest możliwe. Nawet świetny Jaś z pierwszej noweli został obarczony nadmierną świadomością. Trafny impuls artystyczny skłania Goździkiewicza do pokazania fizycznej grozy wojny wobec małego, naiwnego pastuszka. Zanim i on zginie, musi przeżyć jeszcze śmieszną rozpacz po stracie powierzonych mu krów. Zapewne matka biła za zwykłe niedopilnowanie, a tu: „Jasio przeżywa szybkie, zmienne uczucia: strachu, gniewu, żalu. Bielicha nie żyje. Zdaje mu się, jakby i on w tym współdziałał — pod jego okiem zabito krowę. Poczucie winy niepopełnionej miesza mu się z poczuciem kary, żal krowy ze strachem o samego siebie". „Szybkie, zmienne uczucia", „wina niepopełniona" — to zbyt wiele komplikacji dla chłopca, który parę stron przed tym zabawiał się w ten sposób z osami: „Jasio tracił ją kijem — żywa. Zatrzepotała niemrawo skrzydłami, przewróciła się na bok, wygięła w łuk i zafalowała prążkowanym odwłokiem: naprzód i w tył—naprzód i w tył. Tam ma żądło — pomyślał Jasio z ukrywaną obawą i przycisnął kijem ose do ziemi. Spomiedzy dwu żółtawych klapek błysnęła ostra, czarna, błyszcząca igiełka.

— Ech, żądło — wyseplenił z pasją Jasio i przycisnął kij do ziemi jeszcze mocniej. Korpus osy pękł, wyszła z niego wilgotna biała masa i przylepiła się do kija".

Taki behaviourystyczny tok opowiadania przeważa także w tytułowej noweli „Znaki czasu". Podobne partie opisowe wydobywają dobrą, trafną obserwację, niepotrzebnie zanieczyszczoną jakimś obowiązkowym psychologizmem.

To z takiej nałożonej z góry wiedzy o człowieku powstają podobne aforyzmy jak: „Dusza ludzka jest jasna jak szkło i ciemna jak noc listopadowa" („Prawda o Andrzeju Walczaku"). Moim zdaniem a konfrontowałam je z opinią innych czytelników — podobna prawda dyskwalifikuje intelektualizm autora, pozwala nazwać go jeśli nie prymitywnym, to pozornym.

4. INTELIGENT CHŁOPSKI

Nie w jednej, lecz w paru swoich nowelach w tym zbiorze Goździkiewicz umieszcza narratora w kłopotliwej społecznej sytuacji — inteligenta chłopskiego, inteligenta na wsi. Nauczyciel, czy nawet rolnik, żona „z prosta", wnętrze domowe — jak je widzimy — dostatecznie drobnomieszczańskie, ale w domu są książki, jest samowiedza społeczna „chłopskiego inteligenta".

W noweli „Dwie krople krwi" tak ją określa (narrator oczywiście, nie Goździkiewicz): „Wieś przez takie zjawiska jak rzemiosło, jak danie nauki średniej i wyższej pewnemu procentowi młodzieży, który już do wsi nie wraca — ruguje się stale z najlepszego elementu ludzkiego. Jest to czysta strata wsi. Uważam, że pewien procent tych ludzi z wykształceniem powinien do wsi wrócić.

I wróciłem ja.

Miast ślęczeć za kontuarem w spodniach z wypchniętymi nogawkami i oczekiwać na pensyjkę co pierwszego — będę orał, siał i bronował, ale wezmę się do tego racjonalnie: z książką i ołówkiem w ręku..."

Otóż ta społeczna kategoria „chłopskiego inteligenta" ponosi winę za całe niepotrzebne rozdarcie ideologiczne i artystyczne prozy Goździkiewicza, posiadającej wiele walorów porządnego, dydaktycznego rodzaju opowiadawczego. Kategoria znowu — pozorna, wynikła z kulturalnego kryzysu wsi. Wyrażona w powyższym cytacie ideologia powrotu na wieś nie jest przecież w konsekwencji niczym innym jak zamaskowaną ideologią **odrębności wsi,** kręgu nawet **ludnościowo** zamkniętego. Robotnik, inżynier, lekarz, wychodzący ze wsi — zubożają ją tylko. Ani z huty, ani z gabinetu inteligenta w mieście — nie dosięga się wsi. Najlepszy element powinien tu zostawać i zająć się zadaniami, które stoją przed społeczeństwem wiejskim, wylicza: spółdzielnia, samorząd, szkoły, kursy... Możemy dodać: itd., itd. Inteligent, który wraca na wieś, sieje i bronuje, a w przerwach poświęca się pracy społecznej — w spółdzielni, samorządzie, szkole, kursach — to przedłużanie bezradności społecznej wsi, filantropii i dyletantyzmu. Być może, że Goździkiewicz tak nie myśli, jednak to z postawy jego bohatera wynika, a bohater ten jest ujęty pozytywnie. Tak więc pozorny intelektualizm wtrętów refleksyjnych odpowiada też fałszywej, niedomyślonej, a zbyt pochopnie użytej jako materia narracyjna — ideologii społecznej.

Inteligent chłopski, który sieje i bronuje, przyniósł ze sobą na wieś chorobę „bez dogmatu". Skąd? Czy od ruchu robotniczego? Czy od środowiska pracujących, fachowców? Z gimnazjum? Klęska wojenna usprawiedliwia tylko w jego oczach chorobę, od której inteligenta — zdawałoby się — nie chroni nawet przymiotnik: chłopski.

„Człowiek żyje samookłamywaniem się, cokolwiek goni, goni złudę. Ta wojna jest klasycznym przykładem potwierdzającym. Wartości są bezwartościowe, ważności — nieważne. Świętości — brudem. Wzniosłości — blichtrem. Zasady — abecadłem dla analfabetów. Kto, gdzie i kiedy kierował się świętością, prawdą czy dobrem?" („Dwie krople krwi").

Można by powiedzieć, że nawet wątpienie i rozpacz bez określonego podłoża rzeczowego, bez konieczności — natury społecznej — są prymitywne. A tym razem tak jest. W opowiadaniach „Wyżynki" Goździkiewicz był lepszym społecznikiem. Interesowało go w środowisku chłopskim wewnętrzne zróżnicowanie, stosunki międzyklasowe na wsi — w historycznej już perspektywie sprawy dworu i wsi. Polityczno-patriotyczne sprawy, które zaakcentowała wojna, zatarły ten społeczny rysunek pisarstwa Goździkiewicza. Stworzenie typu inteligenta na wsi zdawało się być środkiem do wyjrzenia poza wieś do widzenia szerszego, historycznego. Wydaje się, że ta sprawa zawiodła, że więcej prawdy o życiu, o rzeczywistości — politycznej nawet — zawiera opowiadanie o małym Jasiu zabitym na pastwisku, niż te, w których jak np. w noweli „Uciec" mamy sam materiał rezonerski, refleksyjny, „inteligencki".

5. GATUNEK LITERACKI

Oczywiście, zarzuty winny być w pierwszej instancji artystyczne. Niekonsekwencje ideologiczne wyrażają się przez pomieszanie systemów poetyckich. Istotnie, nawet w dobrym, starannym opowiadaniu o Jasiu, opartym na przekonywującej obserwacji rzeczywistości ściśle zewnętrznej, znaleźliśmy wstawki z innego systemu, rażące tu wstawki psychologizmu, introspekcji, wyprzedzanie opisu przez założoną wiedzę autora o faktach.

Również sentencjonalizm, którym ta proza jest w dość dużym stopniu nasycona — jest wtrętem z innego gatunku pisarskiego, który tu został tylko dla ornamentu przywołany. Goździkiewicz jest pisarzem ambitnym, poszukującym — to też w każdym niemal opowiadaniu zmienia konstrukcję, nadaje narratorowi inny ton — aż do żartu i ironii. Próbuje wielu figur możliwych w rodzaju opowiadania. Znajdziemy tu i ramy opisu i opowiadanie włożone w ramy obojętnego dialogu i pamiętnik, i list, i ciąg opowiadań bohaterów o ich przeżyciach. Wydaje się, że ta formalna różnorodność jest ambicją pisarza. To też staje się powodem wrażenia, że autor ciągle próbuje pióra, że bada swoje możliwości, ćwiczy się w literackich pastiszach.

Wydaje mi się jednak, że styl literacki nie jest kwestią swobodnego wyboru — wówczas to właśnie powstawałaby podobna zmieszana, nieczysta literacko proza. Wraz z językiem — wybiera się ideologię. W tym wypadku niekonsekwencje wewnętrzne i w robocie i w znaczeniu, nieokreśloność pozycji społecznej autora pozwalałyby określić ideologię „Znaków czasu" tak nieścisłym i pozornym terminem jak ideologia „chłopskiego inteligenta."

MŁODZI POECI ŚLĄSCY

„Na początku był Uniwersytet" — tak żartował kiedyś Agata Kaizerek pisząc o wrocławskim życiu literackim, które wyrosło w okolicach tutejszego studium polonistyki. Agata Kaizerek miał na myśli Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego. niemniej powiedzenie to świetnie określa początki wrocławskiego zespołu młodych pisarzy. Grupka studentów-poetów zakładała w 1946 r podwórko literackie. Rok następny pomnożył znacznie ilość ambitnych piór (czy raczej piórek), tak że na podwórku zrobiło sie wcale tłoczno. Wtedy w sprawę wdali się starsi. Koło Miłośników Literatury, organizator tzw „Czwartków literackich", oddało jedno czy dwa ze swych posiedzeń młodym. Występ ten posłużył za egzamin. Pegazikowi wrocławskiemu ubyło ciężaru, niewielu bowiem przetrzymało próbę pierwszej publikacji.

O tych, którzy „zdali" czas zacząć mówić poważnie Byli to poeci: Jan Pierzchała i Elżbieta Miłanczówna. Potem dołączyli do nich inni, omijając już czwartkowe „egzaminy". W ten sposób powstała grupa w dzisiejszym składzie.

O zespole tym jako o „grupie literackiej" można mówić jedynie w sensie topograficznym. Poza miejscem zamieszkania żadna bowiem wspólna poetyka ich nie łączy. Spójrzmy zresztą z bliska:

Pierzchała początkowo śpiewał regularną strofą o „śląskich stronach" (Jan Pierzchała, Wiersze. Arkusz Śląski, nr 10). Dziś patrzy szerzej i pisze swobodniej. Nadąża za politycznym biegiem wydarzeń. Bez patosu, za pomocą prozaickiej leksyki przemienia społeczne treści na poetyczny kształt. Miłanczówna reprezentuje odmienny typ. Rzeczywistość obserwowana i opisywana ma swój byt tylko w niej i przez nią, podporządkowana jest jej mocno rozwiniętemu egotyzmowi. Trzeci z kolei i najmłodszy poeta wrocławski Tadeusz Urgacz (jedyny nie-polonista w tym środowisku) jest osobowością chyba najtrudniejszą do określenia. Bujny, niespokojny temperament każe mu stale zmieniać poetykę, przechodzić od awangardowej hiperboli do stylu poezji — agitki.

Tyle o poetach. Grupę dopełniają recenzenci i dziennikarze: Jan Gawałkiewicz i Tadeusz Lutogniewski. Gawałkiewicz, katolik — jedynak grupy, to pióro bystre i inteligentne, ale metodycznie niezdecydowane. Pozostając wobec socjologicznego pojmowania literatury w wiecznej opozycji, nie wybrał dotąd żadnej konsekwentnej drogi. Lutogniewski, dawniej ambitny twórca, dziś jest świetnym dziennikarzem — specjalistą od spraw literatury. Jego „Ekran Tygodnia" dodatek do „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego" należy (powtarzam opinie pozawrocławskich sprawozdawców prasowych) do najlepszych dodatków literackich w Polsce.

Jest rzeczą znamienną, że brak tu zupełnie prozaików. Próbowali kiedyś sił Romuald Cabaj i Jerzy Cieślikowski, ale pierwszy odszedł do roboty radiowej, drugi rozmienia się na drobne kawałki satyryczne i recenzje w dziennikach.

Obecny I rok polonistyki wydał grupkę skupiającą się około powielaczowego pisemka „Chochoł". Ich zbyt krótka działalność nie pozwala na żaden wartościujący sąd. Wystarczy stwierdzić, że są wśród nich ludzie zdolni i obiecujący.

Z tej nader pobieżnej charakterystyki środowiska można odczytać przynajmniej dwa fakty. Po pierwsze — stale przewijające się przeciwstawienie „dawniej... dziś", dowodzi ciągłego rozwoju grupy, po drugie — konieczność poprzedzenia „wrocławskiej kolumny" tego rodzaju wstępem świadczy przeciw samej grupie. Nazwiska powinny mówić za siebie, tymczasem mało kto je w Polsce zna. Przyczyny nie należy szukać w poziomie artystycznym ich prac (Wrocław nie ma potrzeby wstydzić się swoich młodych), ale raczej w zjawisku, które bym nazwał „kompleksem młodszości kulturalnej" Wrocławia. Młodzi pisarze nie wychodzą publikacjami poza region. W „Odrze" i „Zeszytach Wrocławskich" czują się pewnie i swojo, ale kontakty z „Kuźnicą" i „Odrodzeniem" — to sprawa dosłownie ostatnich tygodni. Za kompleks ten nie ponoszą naturalnie winy wspomniane redakcje, lecz literacka geografia naszego kraju. W polskim trójkącie kulturalnym (Warszawa — Łódź — Kraków) na Wrocław patrzy się życzliwie, choć nieco pobłażliwie. Starsi bracia deklamują o ważności kulturalnej Ziem Zachodnich, ale sami się do Wrocławia nie kwapią

Na rozwoju młodych waży zwykle starsze środowisko literackie. Niestety pisarzy wybitnych zbyt łatwo tu policzyć. Jest ich właściwie tylko troje: Anna Kowalska, Tadeusz Mikulski i Wojciech Żukrowski. Ci robią, co mogą: urządzają „Czwartki literackie", pośredniczą między młodymi a redakcjami pism literackich i dopominają się u adeptów pióra o recenzje do „Zeszytów Wrocławskich". Jest tych ludzi dobrej woli jednak za mało i to osłabia liczebność grupy młodych. Młodzież literacka, która ze zrozumiałych powodów poszukuje większych skupisk literackich, omija Wrocław. Ze swego stanowiska ma rację i trudno ją posądzać o egoizm. Winić można jedynie starszych pisarzy, którzy nie rozumieją, że pracować można także we Wrocławiu i wolą „czworaki literackie" na Krupniczej czy Bandurskiego.

Jerzy Ziomek

Jan Pierzchała

WYZNANIA

Gdyby tak jednak rewolucja.
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.
Światem, jak karuzelą zahuśtać
i pięścią na odlew zdzielić.

W domu się tylko o zgryzocie mówiło.
Nawet nie szepnął nikt: ojczyzna.
W 36-tym roku o niewiele szło,
o parę groszy a zaczęli strzelać.

Teraz już o tym nie każdy wie.
W ciszę się garną wszyscy, w ciszę.
Zapytajcie robotników z Sosnowca,
ci by wam powiedzieli o Rzeczypospolitej.

Pomyśleć. Gdyby tak jednak rewolucja.
Gdyby tak, jak chciał Mickiewicz.
Rozewrzeć naraz usta
i jak z armaty strzelić.

Byłoby inaczej. Panie w tramwaju,
które, jak od smrodu krzywią usta,
miałyby w rękach koszyk z marchwią,
włosy w kółko i byłyby w chustkach.

* * *

Chwalę strofę zwyczajną — szeptanie na wargach
o rzeczy co nie zszarpie nic i nie potarga.

Chwalę jadło na misce. Pochwalam też śpiew
o panach co cygara palili w stolicy.

Chwalę radość za wierszem i głos który syci.
Chwalę drogę w topolach z Chorzowa do Lipin.

Pochwalam śpiew klarnetu i kamień w kościele,
pochwalam chód staruszków, pochwalam też zieleń.

Pochwalam ryk kopalni i mowę o świcie.
Chwalę szum robotniczy, który na nas idzie.

Pochwalam powrót z wojny o dobrej godzinie
i chwale dzień dzisiejszy i przed nim się chylę.

Elżbieta Miłanczówna

NAD NARWIĄ

Córka liberalnego mieszczaństwa,
którą uczono:
rozumieć to znaczy wybaczać
na próżno starałam się pojąć nad Narwią
Jana Srokę
który z przedostatnią gwiazdą
umniejszał państwowy las
o jedną bezbronną sosnę.
Nie mogłam mu wybaczyć jego nędzy.

Krajobraz pierwszej młodości
— wtedy wieś za wydmami
przerosła moje doznanie.

Na letnisku miejska kobieta
wmusza w niecierpliwe dziecko
jeszcze jeden łyk mleka.

Ale bose dzieci mają atramentowe usta
i kosze pełne jagód.
Na stacji „Pustki"
przekupień daje dwanaście groszy od garnca.

Jakże tu było czytać Romain Rollanda
W paryskiej mansardzie
to właśnie Jan Krzysztof mówił o pojmowaniu
Tam na triumfalnym łuku
miasteczko nad Narwią
wyryto w spisie napoleońskich bitew.

A tu na jarmarku
chłopi pobili się w karczmie
i potem wymyślali na żyda
że ich wszystkich oszukał.

Tylko las jest wiecznie zielony
i kołysze się wdzięczniej
od szmaragdowej spódnicy kurpianki
kiedy goni krowę na wilgotnej polanie.

Doprawdy
nie znam rzeki bardziej błękitnej niż Narew.

Tadeusz Urgacz

CZARNY BOB Z U. S. ARMY

(szkic wiersza)

Czarny Bob z amerykańskiej armii
za Europę się bił —
krwią jak nabojem z karabinu
celował z całych sił.

Dziś czarny Bob w Paryżu
chodzi pijany — cóż za gaffa.
Pod nosem śmiesznie wyskoczyła
wieża Eiffla: żyrafa.

Pił wódkę nabity w smutek
jak w stary swój karabin:
dzisiaj już wsiąkła moja krew,
znów jestem czarny.

Czarny jest świat, czarna skóra
i czarna jest moja żona,
i tylko moja krew
była czerwona.

ROK 1950

Czarne koniki dymu
kłusują w rozpędzie od fabryk,
towarzysze nie z mojej partii
niosą lornetkę.

Lornetka podmalowana w szafir
pokazuje rok pięćdziesiąty —
dlaczego smutny pukiel
zawsze zasłaniał mi oczy?

Nieprzyzwyczajony do wiary
widzę na freskach powietrza.

Nie dam lornetki chciwym:
żołnierzowi bez rąk,
ciężkookim ludziom,
nieznajomej kobiecie
kręcącej niebieskie skrzydło wiatraka.

Szkiełkiem ładniejszym od oka
widzę lato zachwytu.

Nieprzyzwyczajeni do wiary
szukają świętszej lornetki.

Władysław Strzemiński

Obraz Łodzi kapitalistycznej

ROZWÓJ Łodzi jest typowym rozwojem XIX-wiecznego miasta kapitalistycznego. Z jej planu możemy odczytać kolejne etapy narastania sił produkcyjnych i wytwarzanych przez nie sprzeczności społecznych. Zasadnicza sprzeczność: pomiędzy społeczną formą produkcji a indywidualnym sposobem przywłaszczania jej wyników — znajduje swój odpowiednik w planie miasta, gdzie każdemu kolejnemu etapowi uprzemysłowienia odpowiada kolejny bezsens warunków mieszkaniowych, pogorszonych w wyniku wzrostu sił produkcyjnych. Każdy wzrost sił produkcyjnych, każdy skok wzwyż odbijał się kolejną klęską na szerokich masach mieszkańców Łodzi W wyniku tego rzadkiego w historii dynamizmu rozwojowego powstał konglomerat, nie nadający się właściwie do zamieszkania. Ogrom pracy, wydobytej z wysiłku Łodzian — nie służył im, nie dał dla nich żadnego wyniku. Z punktu widzenia urbanistyki — wysiłek kilku pokoleń włókniarzy łódzkich poszedł na marne. Historia budowy Łodzi jest historią zmarnowanej (dla społeczeństwa) pracy tego społeczeństwa.

ŁÓDŹ PIERWOTNA.

Położona na przeprawie przez rzekę Łódkę, tam gdzie ją przecinała drugorzędna droga z Łęczycy do Piotrkowa, teren był gęsto zalesiony i bagnisty, drogi rozmokłe i trudne. Łódź służyła jako punkt wypoczynkowy (karczma, zajazd itd.).

Jednocześnie z tym pełniła Łódź inną funkcję — rudymentarną, funkcję, związaną jeszcze ze średniowieczem. Łódź była miasteczkiem rzemieślniczym, tak typowym dla sieci miast średniowiecznych. Każde takie miasto zaopatrywało w wyroby rzemieślnicze najbliższe, przylegające tereny. Każde takie miasteczko, odległe jedno od drugiego przeciętnie o 30 kilometrów było naturalnym ośrodkiem terenu o odpowiadającej mu strukturze gospodarczej. Odległość 30 kilometrowa była uzasadnioną długością drogi dziennej.

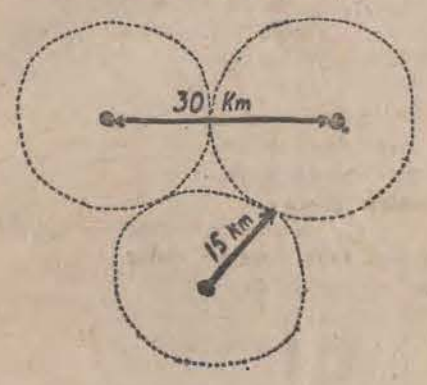

Mieszkaniec, osiadły gdzieś na peryferii właściwego terenu, wyjeżdżając do miasteczka po zakup potrzebnych mu wyrobów przemysłowych — miał do przebycia drogę 15 kilometrów w jedną stronę i, po załatwieniu zakupów, zdążył jeszcze tego samego dnia powrócić do domu. Promień terenu, przynależnego do miasteczka wynosił w ten sposób 15 kilometrów i każdy rolnik, wyjeżdżając po zakupy, unikał niebezpieczeństwa podróży nocnej.

Gęsta sieć tego typu miasteczek, równomiernie rozmieszczonych w terenie — stanowiła podstawę średniowiecznego, urbanistycznego ukształtowania kraju. Każde miasteczko zaopatrywało swój okręg w niezbędne codzienne wyroby rzemiosła. Miasteczko wraz z okręgiem stanowiło podstawową jednostkę gospodarczo - polityczną.

Wskutek istnienia obok Łodzi tak potężnego centrum, jakim niegdyś były Brzeziny (obecnie łódzkie) — nie mogła się ona w pełni rozwinąć. Część jej funkcyj przejęły Brzeziny, jako miasto bardziej atrakcyjne. Stąd pochodził niedorozwój Łodzi średniowiecznej. Dopiero w wieku XV została ona, po długich staraniach uznana za miasto. O tym jej niedorozwoju do pełni miasteczka średniowiecznego możemy się przekonać, oglądając jej plan

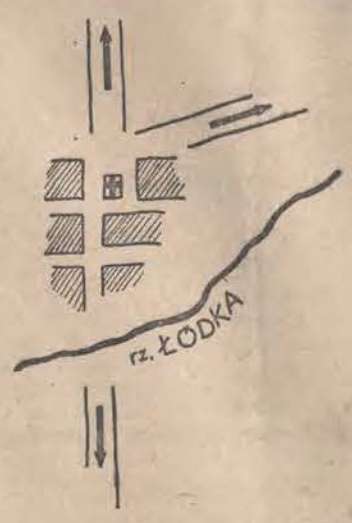

i porównując go z normalnym planem typowego miasteczka średniowiecznego,

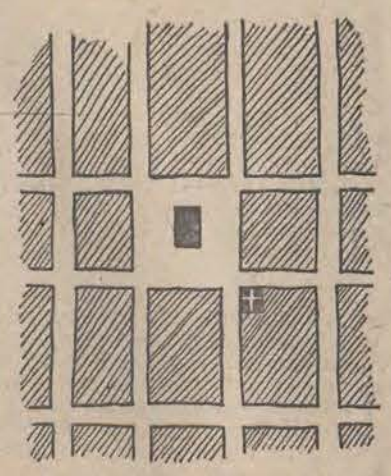

złożonego z regularnej prostokątnej szachownicy ulic z rynkiem w środku miasta, z ratuszem w środku rynku i z kościołem w jednym z narożników rynku. W rynku skupiały się interesy handlowe, a ulice były zamieszkane przez rzemieślników. Czasami w większych miastach każda ulica skupiała rzemieślników jednego zawodu. Tak np. były ulice: Szewska, Rzeźnicza, Rymarska itp.

Miasto, tak rozplanowane było wyrazem dwóch zasadniczych sił ekonomicznych, jakie je stworzyły: produkcji rzemieślniczej (ulice) i kapitału handlowego (rynek). Współdziałanie tych, wzajemnie się wspierających i zwalczających sił stworzyło swoisty układ funkcjonalny miasta średniowiecznego.

Otóż tej równowagi nie dostrzegamy w planie Łodzi średniowiecznej. Zamiast rozwiniętej regularnej szachownicy ulic — zaledwie zaznaczony jej zarys. Zamiast rynku z ratuszem, otoczonego siecią gęsto zaludnionych ulic — plac (obecnie Kościelny), położony na krańcu miasta. W wyniku niedorozwoju rzemiosła i nieobecności kapitału handlowego, Łódź była miastem, gdzie wegetowało paru rzemieślników, lecz nie odbywały się żadne obroty handlowe. Jej plan mówi o stanie letargu tych sił, jakie powoływały gdzieindziej do życia czynne i ludne miasta średniowiecza.

Teren lesisty i bagnisty był zbyt słaby, by wyłonić z siebie dostatecznie aktywny organizm miejski. Zaplecze rolnicze nie wyłoniło miasta handlowo - rzemieślniczego.

OSADNICTWO REMBIELIŃSKIEGO.

Ten właśnie niedorozwój terenu jego lesistość (tani budulec) i pustynność (łatwość zaludnienia pustkowi) były argumentami, które przemawiały za nim, gdy Królestwo Kongresowe przystąpiło do rozwijania swoich sił ekonomicznych.

Teren osadnictwa rzemieślniczego został wybrany na polach, położonych na południe od ówczesnej Łodzi, wzdłuż drogi piotrkowskiej.

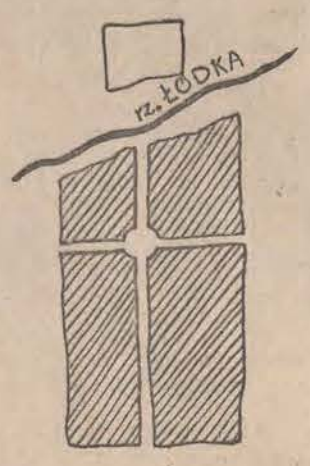

Obszar tego osadnictwa możemy wyznaczyć obserwując rozmieszczenie domów o fasadach 7-mio okiennych. Prawie wszystkie te domy należą do obszaru, objętego akcją osadnictwa rzemieślniczego. Chodząc po mieście, licząc okna, i obserwując domy, możemy niemal odczytać całą historię ich posiadaczy. Zasadniczą regułą jest dom 7-okienny. Zdarzało się jednak, że którykolwiek z posiadaczy — prawdą i nieprawdą, przesuwaniem granic i podstępem powiększał swój stan posiadania i dochodził w ten sposób do majętności o 8 oknach, na niekorzyść oszukanego sąsiada, który się musiał zadowolić domem o fasadzie 6-cio okiennej.

Zdarzało się, że 2 nowych właścicieli nabywało 3 parcele, dzieląc je między sobą — i wówczas powstawały domy, o 10 oknach frontowych.

Zdarzało się również, że właściciel, opanowany pychą i próżnością — zwężał okna i odstępy między nimi, lecz posiadał za to, na parceli normalnej — dom 8-okienny, przedmiot jego dumy i ambicji, wynoszący go ponad sąsiadów.

Obserwowanie szerokości domów na terenie należącym do akcji osadnictwa rzemieślniczego pozwoli odczytać historię cnót mieszczańskich i historię podstępów i szacherek dobrosąsiedzkich.

Cały ten obszar, mieszczący się pomiędzy ulicami Gdańską — Kilińskiego i Ogrodową — Główną, posiada zwarty, jednolity typ domów o jednakowej szerokości 7 okien, odpowiadający jednakowej szerokości parcelom. Jak więc z tego wynika, akcja osadnicza była oparta na zasadach zgóry określonych i dokładnie przemyślanych. Proces powstawania Łodzi Rembielińskiego nie był procesem żywiołowym, lecz akcją planową. Każdemu osadnikowi wyznaczono określoną działkę, wynikającą z wymagań produkcji i zaopatrywano go w budulec z lasów rządowych.

Z tych działek składały się bloki nowopowstałego miasta rzemieślniczego, położonego na południe od starej Łodzi. Plan urbanistyczny określił miejsce ulic, wielkość działek i rozmiary domów. Funkcjonalizm, wynikający z produkcji, bezpośrednio z nią związany jest podstawową cechą urbanistyczną Łodzi, założonej przez Rembielińskiego. Inicjatywie osadników było pozostawione tylko techniczne wykonanie planu w ramach zgóry im wyznaczonych. Osadnictwo to było akcją planową.

Lecz, obserwując uważniej, dostrzeżemy w tym planie jeszcze jedną właściwość. Działki tkackie przylegają do ulic, biegnących z północy na południe. Lecz przy ulicach, skierowanych ze wschodu na zachód znajdują się te same domy 7-okienne, położone na parcelach, już nie wydłużonych, lecz kwadratowych. Są to parcele rzemieślnicze.

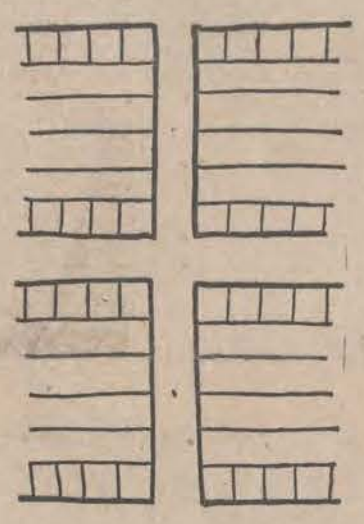

W kierunku południowym biegną ulice tkackie, a w kierunku równoleżnikowym — rzemieślnicze. Rzemieślnik nie potrzebuje terenu do suszenia, bielenia itp. tkanin i dlatego otrzymuje działkę mniejszą, wystarczającą do postawienia domu z warsztatem. Otrzymany w ten sposób plan miasta odznacza się niezmierną przejrzystością i funkcjonalizmem układu. Nie chaos żywiołowego rozrostu lecz ścisła rzeczowość, uwarunkowana wymaganiami produkcji. Wyraźnie występują dwie główne siły gospodarcze, kształtujące organizm miasta: — tkactwo i rzemiosło.

I wśród tej masy jednakowych komórek produkcyjnych, wśród tej masy jednakowych 7-okiennych domków drewnianych — jedyny akcent odmienny — murowany, wczesno - biedermeyerowski plac centralny — (obecny Plac Wolności) — ośrodek administracyjny i handlowy — jedyne miejsce, gdzie dopuszczony został do głosu — składnik estetyki. Wśród ściśle rzeczowej, codziennej masy domków rzemieślniczych i tkackich — jakże nieśmiały — biedermeyerowski akcent architektoniczny.

Jeśli w swoim czasie w literaturze niemieckiej podnoszono zasługi tkaczy przy powstawaniu Łodzi — wystarczy wskazać na plan miasta, na jego niespotykany w ówczesnej Europie, rzeczowy i ścisły funkcjonalizm, by rolę tkaczy niemieckich sprowadzić do jej rzeczywistego znaczenia — ślepych wykonawców genialnego planu.

Wzrost sił produkcyjnych, związanych z ukształtowaniem się Łodzi tkacko - rzemieślniczej dał zatrudnienie tysiącom pracujących w niej tkaczy i rzemieślników — stworzył dla nich warunki pewnego dobrobytu.

Jednocześnie z tym powstało zapotrzebowanie na pewne pomocnicze rodzaje pracy. Łódź stała się rynkiem pracy, wchłaniającym niewykwalifikowane i zdeklasowane elementy wsi późno - pańszczyźnianej. Chłop, wyrzucony z roli szedł do Łodzi, by o cokolwiek zaczepić ręce, szukał pracy dniówkowej i doraźnej, która by go uratowała od głodu. Ten chłop nie mógł zamieszkać w stosunkowo zamożnej i obcojezycznej Łodzi tkacko - rzemieślniczej. Wszelkiego rodzaju nędza, jaka napływała do Łodzi, mogła się tam zaczepić o prace, lecz nie mogła tam zamieszkać. Swój szedł do swego.Przybyły chłop bezrolny szedł na mieszkanie do miejscowego chłopa rolnego. Miejscem zamieszkania napływowej nędzy bezrolnej stały się okoliczne wsie: Bałuty i Łódź.

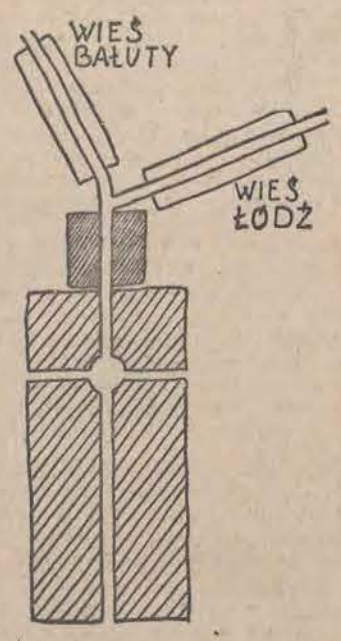

Zagadnienie Bałut, jako najgorszego piekła mieszkaniowego powstało jeszcze w epoce Łodzi przed - maszynowej, lecz trwało i rozwijało się przez cały czas jej istnienia. W ramach ustroju kapitalistycznego nie było środków dla jego zlikwidowania, ponieważ nieustanny proces tworzącego się kapitalizmu stale, jako produkt uboczny, wytwarzał najbardziej upośledzone odpadki ludzkie, dla których łożyskiem były Bałuty.

PIERWSZY ETAP UPRZEMYSŁOWIENIA.

Rozpoczyna się około 1840, wówczas, gdy powstaje fabryka Geyera. Kongresówka oddzielona od Cesarstwa granicą celną. W środku Kongresówki, w Łodzi, w środku obszaru gospodarczego o jednolitej strukturze rozbudowuje się przemysł, zmierzający do nasycenia towarem całego swego obszaru. Zadanie to zostaje ułatwione wskutek centralnego położenia Łodzi.

Budowa nowych fabryk postępuje szybko i produkcja wzrasta. Fabryki powstają częściowo na peryferiach, częściowo w śródmieściu, na miejscu dawnych warsztatów rzemieślniczych, przekształconych obecnie na fabryki.

Ten nowy wzrost sił produkcyjnych, dając duże zyski właścicielom fabryk i utrzymanie dla nowych dziesiątek tysięcy pracujących — siłą sprzeczności, tkwiących w rozwoju gospodarki kapitalistycznej — nie ulepszył, lecz odwrotnie — pogorszył sytuację mieszkaniową Łodzi. Duże miliony rubli, na jakie oceniano ówczesną produkcję Łodzi — nie poszły na korzyść, nie przekształciły jej na lepsze, lecz odwrotnie, zniekształciły i zagmatwały dotychczas wzorowy funkcjonalizm Łodzi stworzonej przez Rembielińskiego. Fabryka żywiołowo wtargnęła, rozbudowała się tam, gdzie mógł lub chciał jej poszczególny właściciel, nie licząc się z wymaganiami higieny, komunikacji i zdrowych zasad urbanistyki. Funkcjonalna planowość układu miejskiego, tak uderzającego w planie Rembielińskiego — została zniekształcona na korzyść dzikich sił rozwoju kapitalistycznego.

Dzielnica tkacko - rzemieślnicza staje się śródmieściem Łodzi przemysłowej. Gruntownym i doszczętnym zadymieniem uniemożliwić pobyt w tym „śródmieściu" — stało się zadaniem nowopowstałych fabryk. Fabryki te powstają przeważnie wzdłuż ul. Kilińskiego i ul. Wólczańskiej — na wschód i na zachód od ówczesnego śródmieścia. Każdy, skąd kolwiek wiejący wiatr zadymia cały teren miasta.

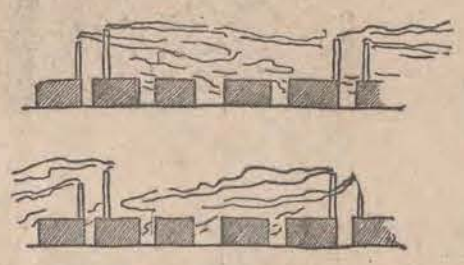

POWSTANIE WIELKIEGO PRZEMYSŁU.

Po zniesieniu granic celnych pomiędzy Kongresówką a Cesarstwem, znalazł się przemysł łódzki w innej sytuacji i wobec nowych możliwości.

Dotychczas był on przemysłem centralnie położonym w stosunku do stosunkowo nieznacznego obszaru Kongresówki i nastawionym na jej nasycenie towarem. Odgrodzony granicami celnymi, był typowym przemysłem, obsługującym izolowany obszar i zabezpieczonym od konkurencji zewnętrznej. Lecz właśnie wtedy, gdy produkcję swoją rozbudował tak, że mógł wypełnić zapotrzebowanie terenowe — granice celne zostały zniesione i Łódź znalazła się wobec olbrzymich rynków Rosji i wobec konkurencji jej przemysłu.

Jednak w porównaniu z rosyjskim przemysłem włókienniczym, skoncentrowanym w

okolicach Moskwy — znalazła się ona w idealnej niemal sytuacji, w jakiej umiejscowiano przemysły w okresie imperializmu, tzn. w bezpośredniej bliskości podstawowego surowca, jakim był w danym wypadku węgiel.

Tak jak początkowo — była ona centralnym punktem swego terenu, tak później — idealnie niemal, na złożach surowca osadzonym miastem taniej produkcji. To zadecydowało w obu wypadkach o jej szybkim rozwoju i umożliwiło wyłonienie się z masy fabryk kilku zakładów wielkoprzemysłowych (Geyer, Scheibler, Grohman, Poznański, Widzew).

Wskutek wielkiej skali produkcji wyłonił się przed tymi zakładami cały szereg nowych zagadnień organizacyjnych, z jakimi się nie spotykał przemysł, niżej zorganizowany.

1) Zagadnienie dowozu olbrzymich mas surowca wymagało zorganizowania komunikacji — przeprowadzenia własnych bocznic towarowych.

2) Zagadnienie zabezpieczenia sobie sił roboczych i uniknięcia naturalnych, przy takiej masie pracowników, spóźnień — wymagało rozbudowy osiedli robotniczych, związanych z terenem pracy.

3) Zagadnienie zdrowotności (gdyż chory robotnik pracuje gorzej, a poszukiwanie nowych powoduje zastoje produkcji i stratę zyskanych godzin pracy) — wymagało stworzenia zieleńców, obsługi zdrowia itp.

W ten sposób powstał schemat, zrealizowany bardzo częściowo (zysk kapitaliści!) lecz posiadający w sobie zalążek społecznego rozwiązania zagadnień urbanistycznych w skali wielkoprzemysłowej.

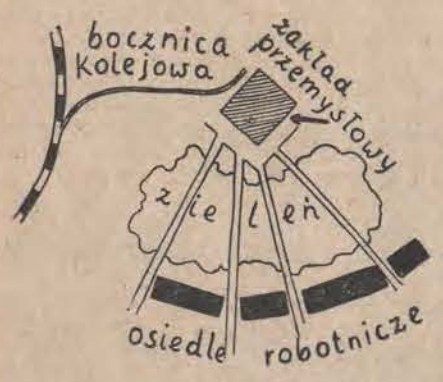

Ten schemat określa podstawowe elementy funkcjonalne układu urbanistycznego:

1) Zakład przemysłowy (miejsce pracy),

2) bocznica kolejowa (transport towarowy)

3) strefa zielona, zabezpieczająca świeże powietrze,

4) osiedle robotnicze, oddzielone zielenią od dymów fabrycznych.

W realizacji, zgodnie z prawem sprzeczności rozwoju kapitalistycznego, wszystkie te składniki, nawet jeśli zostały wykonane — nie dały pożądanego efektu społecznego.

Zamiast osiedli robotniczych wybudowano zwykłe koszary, w których robotnik znalazł się w podwójnej zależności od fabrykanta — jako od pracodawcy i jako od kamienicznika.

Strefa zielona została otoczona przez żywiołowo i bezplanowo rozbudowujące się miasto. I cóż robotnikowi z tego przyszło, że poza zielenią dosięga go dym nie z „jego" fabryki, lecz z fabryki innego właściciela?

Tylko bocznice kolejowe stanowiły wkład trwały i niezmienny w organizm miasta. Lecz i tutaj — to co miało wzmagać siły produkcyjne — stało się jarzmem i niewolą dla mieszkańców.

Przez Łódź przechodzą dwie bocznice fabryczne. Jedna od linii Kaliskiej, prowadzi do zakładów Poznańskiego, druga od linii Fabrycznej — do Scheiblera i Grohmana i dalej — do Geyera. W swoim bezplanowym, żywiołowym rozroście miasto wyszło poza swe pierwotne granice. Linie te, przebiegające poprzednio przez pustkowia podmiejskie, znalazły się niemal w środku miasta. Powstały trudności komunikacyjne. Linie te rozcięły miasto na części, pomiędzy którymi nie ma komunikacji. Np. cała dzielnica płn. - zach. została odcięta przez bocznicę Poznańskiego, a dzielnica płd. - wsch. przez połączone bocznice Scheiblera, Grohmana i Geyera.

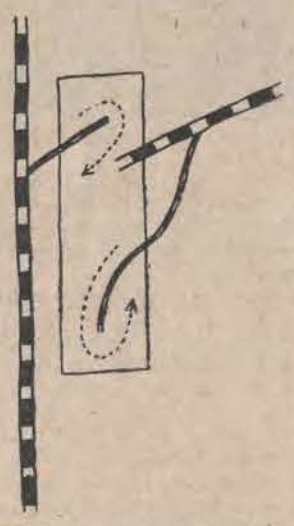

TRZECIA FAZA UPRZEMYSŁOWIENIA.

W końcu XIX w. i na początku XX przemysł łódzki ostatecznie włączył się w aparat imperializmu Rosji carskiej. Było to tym łatwiejsze, że pieniądz nie ma zapachu, a zasadnicza masa fabrykantów składała się z ludzi narodowościowo obcych terenowi.

Przemysł łódzki posiadał dane ku temu, by być najbardziej imperialistycznie nastawionym środowiskiem włókienniczym ze środowisk włókienniczych ówczesnej Rosji. Tamte ośrodki włókiennicze leżały zasadniczo w centrum kraju (Moskwa, Iwanowo i in.), oddalone zarówno od swego węgla, jak i od swojej bawełny. Ich położenie terenowe narzucało im rolę, znaną nam z okresu niedorozwoju przemysłowego — rolę centralnego ośrodka, zmierzającego do nasycenia towarem swego obszaru. Dlatego przemysł okręgu moskiewskiego był nastawiony na zaopatrywanie rynków Rosji Europejskiej, na ich nasycenie towarem. Tymczasem Łódź, położona bliżej węgla, produkując taniej — wysyłała towar na rynki syberyjskie, na rynki Dalekiego Wschodu i Chin. Wskutek tanich kosztów produkcji mogli fabrykanci łódzcy zdobywać te wyniki, o jakich nie śmieli nawet marzyć fabrykanci moskiewscy. Fabrykanci łódzcy stali się awangardą imperializmu carskiego.

Na tle tej współpracy doszła do skutku budowa linii kolejowej Łódź — Kalisz — linii bawełnianej. Przemysł Scheiblerów, Grohmanów i Biedermanów otrzymał linię kolejową, która miała obniżyć jeszcze więcej jego koszta produkcji i ułatwić mu na rynkach Dalekiego Wschodu konkurencję z republikańsko i liberalnie nastawionymi kupcami moskiewskimi. To był godny prezent carów dla ich lojalnych sprzymierzeńców.

Lecz pozostawał drugi surowiec — bawełna. Ten drugi surowiec przychodził do Moskwy drogą morską przez Petersburg, a do Łodzi — z Bremy. W obu wypadkach odległość lądowa, odgrywająca główną rolę w kosztach transportu — była jednakowa. Lecz z Bremy do Łodzi nie było prostej linii kolejowej. Droga prowadziła okrężnie: przez Poznań i Warszawę. Dla skrócenia tej drogi, dla uniknięcia dłuższego łuku Poznań — Warszawa — Łódź, została wybudowana linia kolejowa z Łodzi do Kalisza, związana z kolejami niemieckimi. To skrócenie drogi odbiło się na zniżce kosztów transportu bawełny, uczyniło przemysł łódzki jeszcze zdolniejszym do konkurencji i wprowadziło go na drogi współdziałania z awanturniczą wschodnią polityką caratu (Mandżuria, Chiny, Afganistan, Persja). Otworzyły się nowe rynki. Powstała nowa koniunktura. Nastąpił nowy krok w rozwoju produkcji i budowie nowych fabryk. W pierwszym dziesięcioleciu XX w. powstaje w Łodzi szereg nowych zakładów przemysłowych.

Następuje nowy rozkwit Łodzi. Liczba ludności wzrasta z 350 na 500 tysięcy. Ta cała nowa masa ludzi znalazła pracę w rozszerzonych starych i wybudowanych nowych fabrykach. Nowe fabryki powstają w związku ze stacją towarową na linii Kaliskiej — i w jej najbliższym sąsiedztwie — by zmniejszyć koszt transportu kołowego. W oparciu o stację towarową powstaje całe skupisko fabryk w zachodniej dzielnicy Łodzi. Natomiast ludność świeżo przybyła do Łodzi osiedla się przeważnie w jej dzielnicach wschodnich.

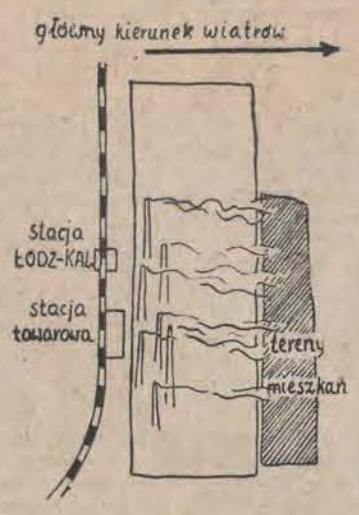

BUDOWNICTWO EPOKI SANACYJNEJ

W epoce sanacyjnej zasadniczo nie powstawały żadne nowe zakłady przemysłowe. Rynki wschodnie odpadły, a na rynkach zachodnich i południowych trudno było przemysłowi łódzkiemu wytrzymać zwycięską konkurencję przemysłów wyżej zorganizowanych.

Wkrótce nastąpił kryzys światowy lat 1929 — 1933, bezrobocie, ucieczka kapitałów i produkcji do Ameryki — warunki nie sprzyjające powstawaniu nowych fabryk. Odwrotnie — nawet istniejące fabryki ograniczały swoją produkcję, zadłużały się, bankrutowały lub otrzymywały zarządy komisaryczne i przymusowe.

Rozwinęło się natomiast budownictwo mieszkaniowe, oparte o kredyty państwowe. Częściowo było to budownictwo prywatne (zabudowanie posiadanych działek małymi domkami), częściowo budownictwo tzw. „społeczne" (budujące całe zespoły, osiedla i kolonie mieszkaniowe).

Zdawałoby się, że ta wzmożona troska rządowych sfer sanacyjnych, że ta stosunkowo znaczna akcja popierania wszelkich typów budownictwa — może zaspokoić powojenny głód mieszkaniowy i naprawić braki urbanistycznego ukształtowania Łodzi. Gdyby stworzono odpowiedni plan rozbudowy Łodzi, kierowany przez interes społeczny, przez świadomość istniejących braków, gdyby przez stopniową przebudowę zmieniono charakter istniejących dzielnic, a dzielnicom nowym nadano właściwy charakter społeczno-funkcjonalny — wówczas akcja ta po pewnym czasie zmieniłaby charakter miasta i usunęłaby chociaż najbardziej rażące braki.

W tak pomyślanym planie należałoby uwzględnić należyte rozmieszczenie i przeniesienie fabryk, wzajemne ustosunkowanie dzielnic mieszkaniowych i dzielnic fabrycznych, stworzenie pomiędzy nimi pasów ochronnych zieleni i drzew, wyznaczenie właściwego stosunku terenów zabudowanych i pustych, wzięcie pod uwagę kierunku wiatrów i ciągnących się dymów itp.

Tego jednak półfaszystowski reżim sanacyjny uczynić nie mógł. Nie leżało to w jego celach. Całe to nastawienie „społeczne" było społecznym tylko z pozorów i formy. Istotną treścią faszyzmu jest opanowanie aparatu państwowego przez grupy kapitału finansowego i wykorzystanie tego aparatu w interesie wymienionych grup. W danym wypadku chodziło o stworzenie rynku dla gałęzi przemysłu, związanych z ruchem budowlanym. Udzielając kredytów państwowych (z pieniędzy podatkowych), rząd jednocześnie uruchamiał, wprowadzał w obieg ukryte zasoby i oszczędności tych, którzy przystępowali do budowy. Otóż uruchomienie jak największych zasobów, stworzenie jak największego zapotrzebowania na produkcję związaną z budownictwem, zapewnienie największego dochodu kartelom i trustom przemysłu budowlanego — było w danym wypadku celem dążeń. Nie społeczna jakość wykonanych budowli, nie interes społeczny, lecz jak największa ilość i jak największy dochód kartelom cementu, żelaza itp. Tym tłumaczy się brak określonych planów społeczno-urbanistycznych i odwoływanie się do każdej dzikiej i chaotycznej inicjatywy budowlanej.

Budownictwo epoki sanacyjnej było oparte o interes posiadacza terenów budowlanych. Rentowność parceli, wyciągnięcie z niej największego osiągalnego zysku — oto było główne kryterium zabudowy.

W ten sposób dookoła Łodzi powstał cały szeroki pas domków, osiedli, kolonii mieszkaniowych itp. — bez względu na przydatność terenów, na kierunek wiatrów, na położenie sąsiednich fabryk, na podmokłość gruntu itp. Zamiast celowej i zwartej zabudowy terenów lepszych — i wykorzystania pod zieleńce i parki terenów nie nadających się do zabudowy — zabudowano wszędzie równomiernie jednakową gmatwaniną drobnych parcelek, małych ogródków, domków niedociągniętych do współczesnej techniki budowlanej, drobnych śmietników. Zmarnowano w ten sposób wiele kilometrów kwadratowych, które (należycie wykorzystane) dałyby zdrowie, higienę i wyższy kulturalnie poziom życia dziesiątkom tysięcy ludzi, zmarnowano olbrzymie tereny budowlane, zmarnowano olbrzymie środki finansowe.

Nawet organizacyjnie wyższe „społeczne" budownictwo osiedli mieszkaniowych nie zawsze odpowiadało wymaganiom. Tylko osiedle miejskie im. Montwiłła-Mireckiego zostało należycie wybudowane i umieszczone na właściwym terenie. Natomiast:

a) osiedle na Karolewie (tzw. domki biskupie) zostało wybudowane na terenie podmokłym, co wpływa na reumatyzm i gruźlicę mieszkańców.

b) osiedle przy ul. Narutowicza zostało umieszczone na wschód od tak potężnych zbiorników dymu, jak elektrownia i Dworzec Fabryczny. Wiatry wiejące od zachodu roztaczają płaszcz tych dymów nad wymienionym osiedlem, co nie jest korzystne dla zdrowia mieszkańców,

c) osiedle skarbowców na Julianowie zostało położone na wschód od ulicy Zgierskiej bez jakiegokolwiek zabezpieczenia się od wypadku, że przy tej ulicy powstaną fabryki, i ich dym zatruje powietrze nad osiedlem.

d) osiedle Ubezpieczeń Społecznych na Chojnach zostało wybudowane wśród otoczenia drobnych domów. Gdyby kiedykolwiek, prawem rentowności terenów powstały tu fabryki — ich dym szedłby w kierunku na osiedle. Żaden pas zieleni i drzew nie został przewidziany. Żadnej ochrony.

SYTUACJA OBECNA

Łódź, jaką my teraz widzimy, powstała w wyniku sprzeczności rozwoju kapitalistycznego. Jej każda dzielnica, każdy wycinek przestrzenny jest ukształtowanym w cegle i drzewie wyrazem tych sprzeczności. Olbrzymia ilość pracy włożona przez jej ludność — w wyniku swym została skierowana przeciwko niej samej. Tak powstała Łódź, miasto sprzeczności pomiędzy bogactwem, jakie ona wytworzyła — a urągowiskiem z normalnych warunków mieszkaniowych, miasto, które w każdym okresie swego rozwoju budowało właśnie to i właśnie tak, jak tego czynić nie należało.

Tak powstały Bałuty, dzielnica potwornej nędzy mieszkaniowej, omijania przepisów budowlanych i drobnicowego, drapieżnego wyzysku — obecnie, w wyniku wojny, zniszczona.

Tak powstał chaos budowlany śródmieścia, gdzie luksusowe domy sąsiadują z dymiącymi kominami fabryk.

Tak powstał chaos komunikacyjny dzielnic, odciętych bocznicami kolejowymi od reszty miasta.

Tak powstał brak zieleni w dzielnicach przeludnionych i przepełnionych zabudowaniami, „rentownie" kalkulującymi każdy metr powierzchni gruntu.

Tak powstało około 120 kominów fabrycznych w okolicach stacji Fabrycznej i stacji Kaliskiej — doszczętnie zadymiających miasto przy sprzyjającym wietrze zachodnim, wiejącym podczas 10 miesięcy w roku.

Tak powstała bezplanowa, chaotyczna i rozrzutna zabudowa terenów peryferyjnych — nie na poziomie współczesnej wiedzy architektonicznej i współczesnej techniki budowlanej — lecz na podobieństwo jakichś tymczasowych klitek.

W wyniku tego wszystkiego Łódź stanowi teren wielu kilometrów kwadratowych, gdzie w każdym okresie rozwoju tworzono to wszystko, co może uniemożliwić zamieszkanie jej przez mieszkańców.

Co należy uczynić? Dialektyka materialistyczna daje ogólną odpowiedź:

Każda następna sytuacja wynika ze wszystkich składników poprzedniej, lecz jest jej dialektycznym zaprzeczeniem. Tworząc nową Łódź, musimy się oprzeć o tę metodę rozwoju dialektycznego.

Jakie są składniki rozwoju poprzedniego? Są to cenne maszyny, zapas wiedzy, chęć tworzenia ujarzmiana dotąd przez stosunki własności prywatnej — są to setki tysięcy rąk zdolnych do pracy i przez swoją codzienną pracę wytwarzających bogactwa.

Tą dialektyczną zmienną warunków historycznych, jaka zadecyduje o powstaniu nowej Łodzi, jest zanik prawa sprzeczności rozwoju. Z chwilą gdy społecznie wykonywana praca przestaje być narzędziem ujarzmienia jej wykonawców — otwiera się możliwość planowej budowy nowej Łodzi — Łodzi funkcjonalnej, Łodzi, która służy jej mieszkańcom.

W tym konglomeracie, jaki stanowi Łódź współczesna, Łódź, jaką odziedziczyliśmy po epokach poprzednich — należy rozróżnić, co stanowi trwały wynik rozwoju poprzedniego, a co — dialektycznie zmienną cechą, przemijającą, związaną z minionymi okresami i podlegającą zaprzeczeniu w okresie obecnym.

Tymi stałymi składnikami, narastającymi w ciągu **całego** rozwoju dotychczasowego są: ludzie, maszyny i praca — realne siły produkcyjne.

Otóż w oparciu o te realne siły produkcyjne należy zbudować Łódź nie ujarzmienia kapitalistycznego, lecz Łódź, wyzwalającą człowieka i jego siły produkcyjne. Łódź, zbudowaną na nowym planie i opartą o nowe zasady urbanistyczne — Łódź funkcjonalną*)

Terenem, na jakim się rozwinie jej przyszłe budownictwo, byłby szeroki pas przestrzeni pomiędzy Pabianicami a Zgierzem. Pas, gęsto związany siecią komunikacyjną i uzbrojony we wszelkie instalacje techniczne, higieniczne, energetyczne itp.

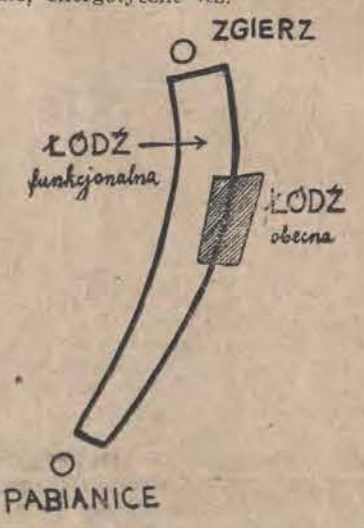

W związku z likwidacją drobnych zakładów i łączeniem drobnych fabryk w duże zakłady przemysłowe powstaje możność ścisłego planowania terenowego i uzgodnienia planów budownictwa przemysłowego z planami budownictwa mieszkaniowego. Każda przewidziana ilość pracujących może być zaopatrzona w zgóry zaplanowaną ilość mieszkań.

Na dużych niezabudowanych, wolnych przestrzeniach pomiędzy Pabianicami a Zgierzem należy budować nowe kombinaty przemysłowe związane z odpowiadającymi im osiedlami mieszkaniowymi — otóż otoczone zielenią, oświetlane słońcem i owiewane wiatrem, wiejącym z pól osiedla na najwyższym poziomie wiedzy architektonicznej, osiedla godne człowieka z epoki gospodarki planowej — a nie chałupinki i nie koszary Scheiblerów i Poznańskich.

Nie przebudowywać miasta przeciążonego sprzecznościami rozwoju kapitalistycznego, nie dodawać nowych budynków do już istniejących, nie wrastać w urbanistykę, wyrosłą z celów ujarzmienia człowieka przez człowieka — lecz tworzyć **nowy** plan urbanistyczny — plan giętki i elastyczny, wynikający z wymagań pracy i życia żywego człowieka, który zasługuje na to, by mógł żyć i pracować.

W tym giętkim planie miasto nie byłoby terenem ciągłym, nie byłoby mechanicznym zbiorowiskiem rentujących się parceli — lecz żywym organizmem, wywodzącym się z funkcji pełnionych przez człowieka — z jego pracy, z jego odpoczynku, z jego zdrowia.

Pas takich osiedli, przedzielonych żywą naturą — stanowiłby organizm przyszłego miasta. Pas osiedli, mocno związanych ze sobą wszelkimi środkami komunikacyjnymi. Pas osiedli, łączących najwyższą technikę z bezpośrednio dostępną, nienaruszoną, żywą naturą.

Władysław Strzemiński

*) Mój artykuł „Łódź funkcjonalna" w „Myśli Współczesnej".

Adolf Olechnowicz

O T O W I E Ś !

STO LAT TEMU

Najpierw oglądam Kronikę Szkolną. Jest to dużego formatu książka w twardej oprawie z wygniecionym na niej złotym napisem: „Kronika szkolna".

Zaraz za okładką wklejone są dwa stare dokumenty. Są to: „Rapporta o stanie Szkoły Elementarnej Rządowej obojej płci we wsi prywatnej Głuchów w Powiecie Rawskim Gubernii Warszawskiej" za rok szkolny: jeden — 1853/54, a drugi — 1858/59.

W „Rapportach" tych czytamy, że: „etat nauczycielski w Głuchowie był już stały, do etatu przydzielono 90 rubli rocznie. Dom szkolny jest niewygodny i za ciasny. Do szkoły zapisanych jest 37 dzieci: 25 chłopców i 12 dziewcząt, w tym — 9 dzieci stanu miejskiego, a 28 — wiejskiego. Wszyscy religii rzymsko-katolickiej. Do szkoły chodzą dzieci z: Głuchowa, Miłochniewic, Pruss, Celigowa, Michowic, Józefina i Woli Naropińskiej. W ciągu roku szkolnego naukę przerwało — 5 dzieci. Naukę rozpoczęto 4. 11. 1858, zakończono — 16. 5. 1859. Nauki dawane były od właściwej władzy przepisane, lekcje bywały 3 godziny rano i 2 — po południu. Egzamin odbył się w przytomności Wielmożnego Opiekuna Księdza Logi 16. 5. 1859. Na nabożeństwie bywały dzieci w dnie niedzielne, świąteczne i galowe. Spowiedź odbywała się podług przepisów. Książek używano wskazanych. Szkołę zwiedził wielmożny Opiekun w ciągu roku kilka razy".

A wykaz pomocy naukowych wygląda dosłownie tak: „Katechizm, tabl. 14, gramatyka rosyjska, wiadomości o ratowaniu osób, wzory pisania 3 egzempl., Żywot Pana Jezusa, Kmiotek z 1849 r., bajki Rodziszewskiego, przewodnik dla nauczycieli, zmiana miar ceł, poradnik o grasującej cholerze, zasady poprawnego czytania i pisania po polsku". Podpisał: Franciszek Trubaszek — nauczyciel, oraz (na wcześniejszym Rapporcie) — Ksiądz Loga — Opiekun.

WIELMOŻNY OPIEKUN

Ksiądz Loga był proboszczem, a proboszcz tu z zasady pełnił funkcję Opiekuna Szkoły i był bezpośrednią władzą nauczyciela. Franciszek Trubaszek był z pochodzenia Czechem. Z ojczyzny swojej przywiózł znać więcej wolnego myślenia, niż na to w Księstwie Łowickim pozwolić sobie było można. Tak czy inaczej, dość, że między nim a księdzem dochodzi do konfliktu. Ksiądz Loga nie chce mu podpisywać kwitów (odmówił też podpisu na ostatnim Rapporcie), co równało się wstrzymaniu poborów. Bo Wydział Oświecenia Woj. Mazow. w Rawie, pismem z dnia 14 stycznia 1841 r. Nr. 18090 zawiadomił wszystkich obywateli (oczywista ziemskich), proboszczów i wikariuszów, „aby mieli ciągłą baczność nad prowadzeniem się nauczycieli i ich czynnościami jako z powołania swego w przedmiotach naukowych Opiekunów szkółek elementarnych i po każdym upłynionym miesiącu na kwitach nauczycielskich ciągłą czynność, moralne prowadzenie ich zamieszczali — a nie złożywszy z podobnemi uwagami kwitów, pensje nie mogą być im wypłacane".

Nie trzeba komentarzy. Okólnik ten wystarcza, żeby zrozumieć, że Ksiądz Proboszcz nauczyciela miał w garści, a szkółkę reformował tak, jak sobie tego życzył. To też konflikt między Wielmożnym Opiekunem a nauczycielem Franciszkiem Trubaszkiem skończył się tak, że Trubaszek musiał z Głuchowa wyjechać.

POD CZARNYM KLOSZEM

I nie mogło się skończyć inaczej. Bo Głuchów już od czasów swoich historycznych narodzin został szczelnie przykryty mocnym, czarnym kloszem księżej władzy. Pierwszą historyczną wzmiankę o Głuchowie spotykamy w kronice Długosza. Oto w tomie II tej Kroniki, na stronicy 389 czytamy, że w roku 1136 dobra Głuchów (nazywane wtedy Sochowo) wpisane zostały w rejestr majątków Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, gdyż Konrad Mazowiecki za zabójstwo Wojewody Krystyna, wraz z Łowiczem i innymi wsiami darował Arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu i Głuchów (Sochowo) — z dziesięcinami, mieszkańcami i prawem wyłącznego sądu nad nimi. W tymże 1136 roku papież Inocenty II przynależność Głuchowa (Sochowa) do Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego potwierdza.

Klosz tej księżej władzy ciążył na życiu Głuchowa przez szereg stuleci i dopiero w ostatnich czasach i to wyjątkom jeno spod klosza tego wyzwolić się udało. Okazuje się z opowiadań Głuchowiaków, że w okresie międzywojennym, a więc około połowy dwudziestego wieku, na porządku dziennym były tu zjawiska, które nie wiele odbiegły od „Świętej Inkwizycji". Ale muszę ograniczyć się do najłagodniejszych z nich, bo te akurat łączą się z tematem.

Na przykład.

Był tu (i do dzisiaj pozostał) zwyczaj, że, tak dzieci jak i dorośli, tak młodzi jak i starzy, tak kobiety jak i mężczyźni całują księdza w rękę. Jeden z młodych chłopców głuchowskich wyrwał się jakimś cudem do gimnazjum w Skierniewicach. Po paru latach nauki i życia w mieście, spotkawszy się w czasie wakacyj z głuchowskim proboszczem przywitał go z szacunkiem, ale — w rękę nie pocałował. Natychmiast na gimnazjalistę spadły gromy potępienia z ambony, a pod adresem „najmilszych" parafian — płomienne ostrzeżenia i gorące zaklęcia, aby dzieci swoich, jeżeli im i sobie Nieba życzą, do szkół nie oddawali. Mało tego. Ksiądz „dobrodziej" zwrócił się do Dyrektora Gimnazjum z żądaniem, aby „wyrodka tego" ze szkoły wyrzucił i — o dziwo — chłopak ten, mimo że był świetnym uczniem, z gimnazjum został usunięty. Ale nie załamał się,

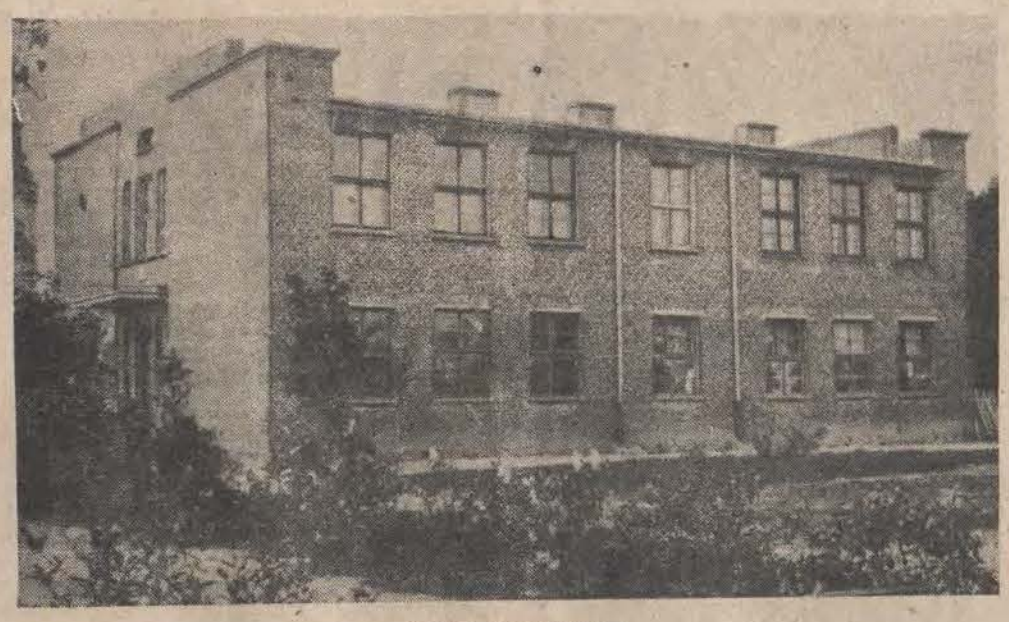

Szkoła głuchowska

nie przestraszył, nie wrócił pod klosz, jak inni. Poszedł w świat — jak najdalej od „dobrodzieja". Tułał się, męczył jak wygnaniec, ale skończył gimnazjum, potem medycynę i obecnie jest znanym lekarzem w Stolicy.

Kiedyindziej znów ksiądz „dobrodziej" domagał się, aby matka odebrała swojego syna ze szkoły przemysłowej z Łodzi, bo tam podobno religii mieli nie uczyć. Więc w przemysłowym liceum powinno się religię studiować, a gdzie w takim razie przemysł? — pewnie w seminarium duchownym lub na wydziale teologicznym?...

Na karcie 27 wspomnianej wyżej kroniki szkolnej, pod datą: 14. II. 1938 r. opisany jest konflikt między nauczycielstwem a byłym proboszczem głuchowskim — nauczycielem religii w tej szkole. Mianowicie Ksiądz Proboszcz, czując się pewnie ciągle „Wielmożnym Opiekunem", zarzucił nauczycielstwu komunizowanie. Tym razem jednak nie wykończył kierownika szkoły tak, jak 80 lat temu poprzednik jego Franciszka Trubaszka, ale na dwu stronicach kroniki poświęconych tej sprawie, czytamy, że kierownik szkoły tłumaczyć się musiał nie mniej niż tamten przed 80 laty.

Czego dowodzą przytoczone przykłady? Oto chodziło o utrzymanie parafian w ciemnocie, bo to gwarantowało panowanie księży nad wsią.

OD 30 DO 300

A jakiż był skutek tego ciągłego, usilnego odżegnywania wsi od oświaty? Owszem — dość długo „pozytywny". Przyjrzyjmy się tylko choćby paru liczbom. A trzeba przy tym pamiętać, że szkoła głuchowska obejmowała wtedy swoim zasięgiem i te wsie, które dzisiaj mają już szkoły u siebie.

W roku 1815 do szkoły głuchowskiej chodziło 25 dzieci, w r. 1858 — 37, w r. 1900 — 58, w r. 1914 — 73.

I dotąd Wielmożny Opiekun był chyba zadowolony, bo do szkoły chodził co dziesiąty, przyrost dzieci w szkole był mniejszy od przyrostu naturalnego, a szkoła i nauczyciel, zgodnie ze świętą tradycją, znajdowali się pod jego „bacznością".

Ale odtąd sprawa zaczęła się trochę „komplikować".

Ilość dzieci w poszczególnych klasach

ROK	I	II	III	IV	V	VI	VII	Raz.
1920	94	51	61	26	10	2	—	244
1922	61	86	59	25	29	5	4	269
1926	45	52	56	52	34	22	4	265
1936	45	49	52	45	47	36	22	296

Jeszcze co prawda w tym 1936 roku jest w Głuchowie kłopot z lokalem szkolnym — nowa szkoła była tylko w połowie zdatna do użytku, tak, że część dzieci musiała się uczyć w tak zwanej Starej Szkole, która była zupełną ruderą. Ale już dni tego kłopotu były policzone, bo do wykończenia nowej szkoły miejscowy Komitet Budowy, z wielkim działaczem ludowym Marcinem Wasilewskim na czele, przystąpił z całym rozmachem.

Ale zamknijmy tymczasem tę Kronikę Szkolną, to świadectwo chmurnej przeszłości i przyjrzyjmy się, chociaż z grubsza temu,

CO I JAK JEST DZISIAJ?

Po starej, słomą krytej ruderze nie ma ani śladu.

Oto stoi duży, piętrowy gmach z czerwonej cegły, obok olbrzymie, równe boisko sportowe, a wszystko ogrodzone siatką upiętą na żelaznych słupkach. Wzdłuż siatki zieleni się równą ścianą gęsty, strzyżony ,akacjowy żywopłot.

Wejdźmy do środka— szerokie korytarze, a po obu stronach sale szkolne: duże, wysokie, jasne, z białymi, kaflowymi piecami. W jednych klasach są ławki szkolne, w innych zamiast ławek, piękne, dwuosobowe stoliki i krzesełka — nabytek już powojenny.

Pomoce naukowe już nie te i nie takie, jak za czasów Franciszka Trubaszka — katechizm bajki Rodziszewskiego czy Żywot Pana Jezusa. Znać, że w te pomoce to już nie Wielmożny Opiekun zaopatrywał szkołę. Oto biblioteka szkolna liczy ponad tysiąc tomów, zaś inwentarz (spis) pomocy do nauki matematyczno - przyrodniczych liczy kilkadziesiąt pozycji. Poza tym — sala do nauki robót z narzędziami i sześcioma pięknymi warsztatami stolarskimi, sprzęt sportowy, spółdzielnia uczniowska, apteczka Szkolnego Czerwonego Krzyża i t. d.

Uczniów jest trzy i pół setki, a w klasie siódmej i ósmej — równo dziewięćdziesiąt. W związku z reorganizacją szkolnictwa (skasowanie klasy ósmej w szkołach powszechnych) uczniowie obu tych klas szkołę muszą opuścić.

Idę do nich. Jedną godzinę jestem w klasie ósmej, drugą — w klasie siódmej. I u jednych i u drugich przez pierwsze pół godziny siedziałem na uboczu, i tylko dyskretnie przyglądałem się i przysłuchiwałem — żeby nic nie sugerować, żeby postawić jak najtrafniejszą djagnozę: nie tyle o ich wiedzy, bo z tym jeszcze w żadnej szkole dobrze chyba nie jest, ile o ich sposobach myślenia i rozumowania, oraz o ich pragnieniach co do przyszłości. Obserwacje te dają niezmiernie ciekawy i ważki materiał.

Gdy w pewnym momencie, od niechcenia, zadaję pytanie: kto z was **chciałby** uczyć się dalej?... ręce podnieśli wszyscy. A kto z was **będzie** uczyć się dalej? Podniosło ręce tylko kilkoro. Reszta opuściła głowy.

Skrzywdziłby mocno — nie tyle mnie ile tych uczniów — ten, kto by w tym miejscu posądził autora artykułu o jakąś poetycką egzaltację. Na to patrzyłem jak badacz, a nie jak poeta.

Więc dlaczegóż to uczyć się dalej — chcą wszyscy a będą — tylko niektórzy?

Przede wszystkim dlatego, że chcąc się dalej uczyć trzeba z Głuchowa odjechać, a odjechać może niewielu, bo, albo rodzice biedni, albo i nie biedni, ale „mogłoby tam w nowym świecie dziecko duszę zagubić", albo...

Ale to wszystko mniej ważne. Ważne i pilne jest przede wszystkim to, że tych 90-cioro nie będzie się uczyć dalej nie z własnej winy. Ważne jest to, że uczyliby się oni wszyscy, a prócz nich co najmniej drugie tyle z sąsiednich szkół 7-mioklasowych, gdyby szkoła głuchowska miała następne wyższe klasy.

I dzisiaj właśnie, kiedy się ustala sieć szkół jedenastoletnich, wydaje się, że taki punkt, jak Głuchów, powinien być koniecznie wzięty pod uwagę z wielu względów. W skrócie względy te są podane w prośbie społeczeństwa gminy głuchowskiej, do której przyłączyło się też społeczeństwo gminy Żelechlinek — już z sąsiedniego powiatu rawsko-mazowieckiego.

DO SWEGO PREMIERA

Z prośbą tą zwrócili się Głuchowiacy do: Inspektora Szkolnego w Skierniewicach. Kuratorjum Szkolnego Okręgu Łódzkiego, Zarządu Głównego ZNP. w Warszawie i jeszcze tam gdzieś, a wreszcie nawet do V-Premiera Rządu RP. Ob. Antoniego Korzyckiego, — do swego, jak mówią, Premjera.

Oto ona:

„Do
Obywatela Antoniego Korzyckiego
V-Premiera Rządu Rzeczpospolitej Polskiej
w Warszawie

My niżej podpisani, działając z upoważnienia i na prośbę całej ludności gminy Głuchów i wszystkich partyj, instytucyj i organizacyj tej gminy, zwracamy się do Obywatela Premiera, jako przywódcy chłopów Rzeczpospolitej Polskiej, z gorącą prośbą o spowodowanie, aby w Głuchowie (pow. Skierniewice) została zorganizowana szkoła jedenastoletnia — rozwojowa.

Motywy prośby naszej są następujące:

1. W związku z reorganizacją szkolnictwa, na terenie naszego powiatu przewidziane są 4-ry szkoły jedenastoletnie, w tym dwie dla miasta Skierniewice i tylko dwie dla wszystkich wsi tego powiatu (w Godzianowie i w Puszczy Mariańskiej). Te dwie szkoły nie pomieszczą wszystkiej tej młodzieży naszego powiatu, która pochodzi ze wsi i po ukończeniu 7-mioklasowej szkoły powszechnej pragnie uczyć się dalej — w kierunku ogólnokształcącym.

2. W Głuchowie i okolicznych wioskach jest szczególne nasilenie młodzieży, która chce się kształcić. Ze względu na dużą odległość od szkół średnich (Skierniewice — 22 kilometry, Godzianów — 17 km), co zwiększa koszt kształcenia się, wielu, zwłaszcza niezamożnych, rezygnować musi z dalszej nauki.

3. W samej tylko Szkole Powszechnej w Głuchowie jest w tej chwili w klasie VII-ej i VIII-ej — 90 dzieci. Gdy dołączymy jeszcze tylko najbliższe 7-mioklasowe szkoły powszechne, liczba ta kilkakrotnie się zwiększy.

4. Głuchów leży na styku powiatów: rawsko-mazowieckiego, brzezińskiego i skierniewickiego. Toteż szkoła jedenastoletnia w Głuchowie służyłaby dla tych trzech powiatów — dla tych wiosek, które leżą blisko Głuchowa, a daleko od swoich miast powiatowych. Zresztą do Szkoły Głuchowskiej, zwłaszcza do klasy VII-ej i VIII-ej uczęszczają dzieci z powiatu rawsko-mazowieckiego i brzezińskiego już od szeregu lat, gdyż do Głuchowa mają bliżej, niż do szkół w swoich powiatach.

5. Tu, w tym zakątku, szkoła jedenastoletnia jest szczególnie potrzebna. Spełniałaby ona u nas nie tylko rolę samego nauczania, byłaby tu ona, wspólnie z naszym Uniwersytetem Ludowym, ogniskiem postępu i kuźnicą najmłodszego pokolenia chłopskiego, wychowującą młodzież naszą dla demokracji ludowej.

To też gorąco prosimy Obywatela Premiera o spowodowanie, aby w szkole naszej nie została zwinięta klasa VIII-ma, ponadto, aby została dodana klasa IX-ta. Byłaby to więc szkoła jedenastoletnia rozwojowa: w roku szkolnym 1948/49 miałaby klas 9, w roku szkolnym 1949/50 — klas 10, zaś od roku szkolnego 1950/51 — pełnych klas jedenaście.

Sal wykładowych dla szkoły dziewięcioklasowej w naszym gmachu szkolnym wystarczy, tak że nie zachodzi potrzeba prowadzenia nauki po południu. A z chwilą zaplanowania u nas szkoły jedenastoletniej przystąpimy do rozbudowy tego gmachu tak, aby do czasu rozwinięcia się pełnej szkoły jedenastoletniej, było już dla niej odpowiednie pomieszczenie. Potrzebny sprzęt szkolny i pomoce naukowe gotowi jesteśmy ufundować natychmiast.

W tej chwili Zarząd Gminny w Głuchowie rozpoczyna tu budowę gmachu na mieszkania dla nauczycieli — materiał budowlany jest już na placu. Do chwili ukończenia budowy tego domu zobowiązujemy się dostarczyć potrzebną ilość odpowiednich mieszkań dla nauczycieli w domach prywatnych.

Ludność okolicznych wsi zdecydowana jest kolejno dowozić uczniów do Głuchowa (z dalszych wsi), niektóre zaś wsie będą mogły korzystać z kolejki wąskotorowej Rogów — Rawa, która przechodzi przez Głuchów, lub z autobusów, które systematycznie kursują na linii Łódź — Rawa i mają stały przystanek w Głuchowie.

Niezależnie od tego gotowi jesteśmy zorganizować w Głuchowie internat dla uczniów z dalszych wiosek.

W związku z ewentualnym uruchomieniem u nas klasy dziewiątej w roku szk. 1948/49, chcielibyśmy jak najrychlej przystąpić do jej urządzenia i zaopatrzenia w odpowiedni sprzęt tak, aby z końcem sierpnia br. było już wszystko gotowe. Dlatego też uprzejmie prosimy Obywatela Premiera o łaskawe rozpatrzenie prośby naszej, jeżeli to możliwe, w trybie sprawy bardzo pilnej i przesłanie decyzji na adres: Zarząd Gminnego Koła Stronnictwa Ludowego w Głuchowie, powiat Skierniewice." (podpisy).

Wydaje mi się, że i motywy prośby głuchowskiej są aż nadto wystarczające i postawa społeczeństwa twórcza i, co bardzo ważne, warunki rzeczowe do zorganizowania tej szkoły są, tak, że wysiłek finansowy Państwa, w związku z pozostawieniem na rok przyszły istniejącej już tu klasy VIII-ej i dodaniem tylko jednej klasy, to jest IX-ej, będzie stosunkowo niewielki.

A kiedy zwróciłem uwagę, że przecież szkoła jedenastoletnia daje wykształcenie ogólne, że nie przygotowuje bezpośrednio do żadnego zawodu, nie uczy rzemiosła, że przecież praktyczniej jest po ukończeniu szkoły 7-mioklasowej oddać dziecko do jakiejś szkoły zawodowej — szybciej ono dostanie konkretny fach do ręki — to Głuchowiacy mnie na to mniej więcej tak: toć nie poto prosimy o szkołę jedenastoletnią, żeby nasze dzieci na jakichś „dumacy" uczyć, jeno poto, żeby z nich właśnie fachowcy byli, ale fachowcy rozumni i, co najważniejsze, miłujący swoje rzemiosło. Ale umiłowanie rzemiosła jest tylko wtedy, kiedy człowiek wybierze sobie to, co mu najbardziej pasuje i kiedy wybierze sobie sam. A czyż 13—14 letnie dziecko jasno już wie, co w życiu najlepiej potrafi i czego chce? Nie, przeważnie jeszcze nie. Kiedy będzie ono miało już lat 18 i wykształcenie średnie do tego, o — wtedy będzie wiedziało czego chce i co potrafi. Pewnie, że i w takim wieku może być pomyłka, może nie trafić na swoje, ale wśród tych 18-stoletnich tego rodzaju pomyłki bywają pewnie rzadsze.

To też, żegnając szkołę głuchowską niecierpliwiącym się z powodu braku odpowiedzi na wysłane podania Głuchowiakom (rodzicom i uczniom) musiałem powiedzieć, że: moim zdaniem nie powinni się niepokoić, że, moim zdaniem, prośba ich zostanie załatwiona pozytywnie i to mimo, że Państwo nasze znajduje się w niezmiernie trudnych warunkach finansowych, mimo, że zorganizowanie i utrzymanie szkoły jedenastoletniej wymaga olbrzymiego kapitału i nie stać Państwa na to, żeby sieć ich od razu zrobić gęstą.

Tak im odpowiedziałem, bo takie jest moje zdanie.

Tak im odpowiedziałem i dlatego, że przecież chciałem stąd wyjść cało, a gdybym powiedział inaczej, wywieźliby mnie Głuchowiacy czarnymi wołami poza swoją wieś, tak jak to, stosunkowo niedawno, wywieźli chłopi ze sąsiednich Lipiec — Jagnę Borynową.

Tadeusz Rokitniak

Z notatnika wakacyjnego

EKSPOZYCJA

Wieś, o której mowa, zwie się Małyń, należy do gminy Krokosice. Położona malowniczo w delcie Neru i Pisi na granicy trzech powiatów: łódzkiego, łaskiego i sieradzkiego. Odległość od Łodzi 28 km. Praktyka życiowa cyfrę tę jednak redukuje do 12, gdyż tyle wynosi odległość od łódzkiej krańcówki tramwajowej. Wieś tzw. średnio-zamożna: 30% gospodarstw ponad 6 ha, wahania w dół raczej nieznaczne. Spory procent murowanych domków, zauważalny ruch budowlany, pięć sklepów (1 Samopomocy), efektownie wyglądająca szkoła powszechna, agencja pocztowa. Od roku 1926 wieś prymitywnie zelektryfikowana przez miejscowego młynarza, potentata ekonomicznego wsi, i dziś jeszcze nieomal dyktatora. Ród młynarzowy od 100 lat dominował nad wsią i skutecznie rywalizował znaczeniem i stanem majątkowym z dworem. Opłata za światło inkasowana jest po-pańszczyźnianym systemem „odróbki".

KIERUNEK INWESTYCJI

Komitet parafialny, ekspozytura prawna ambitnego proboszcza, ozdobił kosztem 1,5 miliona — cała wieś opodatkowała się wysoko — oddawna całkowicie wyposażony kościół ekspresjonistycznymi ornamentami ściennymi, wyrafinowanymi w swej abstrakcyjności — dzieło art. mal. Mroza. Obecnie burzy się mur dookoła cmentarza, który wymagał tylko częściowej naprawy i stawia nowy. Kosztorys opiewa na blisko dwa miliony. Połączenie wsi z Łodzią fatalne: brak kilkukilometrowych odnóg do dwóch pobliskich szos — piachy, miejscami naszpikowane humorystycznymi grzędami kamieni, a przecież stosunkowo łatwa do zrealizowania budowa trzykilometrowej wypustki do szosy, wprowadziłaby do Małynia stałą komunikację samochodową m. in. P.K.S. Łatwy trasport do Łodzi umożliwiłby częściowe przejście na wysoce opłacalną w pobliżu wielkiego miasta produkcję ogrodniczo-warzywniczą. Jednakże pobożni parafianie problemu tego zdają się nie dostrzegać. — Ekspresjonistyczne bohomazy nad nawami są tu nierównie konieczniejsze. Gdy nogi zdrowe i tak przecież dojdzie się z tłumoczkiem do tramwaju za niecałe trzy godziny.

GAZETA NIE NA KIESZEŃ MAŁYNIA

Ten „idealizm" Małynia posiada zakres jednak trochę wąski. Agentka poczty pokazuje mi z zażenowaniem listę radioodbiorców i prenumeratorów prasy: poza księdzem, młynarzem i felczerem, jeden posiadacz radioodbiornika.

Pisma prenumerują:
„Przyjaciel" — jedna osoba
„Przyjaciółka" — jedenaście
„Moda i Życie" — trzy.

Bloczki prasy codziennej, pism społeczno-politycznych i kulturalnych — puste. Brak amatorów. Dostrzegam jeszcze suchotniczy rulonik „Chłopskiej Drogi" dla jakichś niezauważalnych członków PPR-u.

Agentka tłumaczy, że wielokrotnie próbowała zachęcać za każdym razem jednak spotykała się z argumentem, że prenumerata jest zbyt droga (!). Popularność „Przyjaciółki" tłumaczy niezwykłą taniością i patrzeniem przez palce ze strony administracji na niewypłacalnych prenumeratorów. „Moda i Życie" jest tu bardzo ceniona za praktyczne artykuły. Argument „drożyzny" jakby żywcem przeniesiony z jalukurkowskiego mitu o Naprawie, nie jest jak widać z tego, co wyżej napisałem, najściślejszy. W najbliższą niedzielę u popularnego Barugi — sklep zaopatrzony obficie w „napoje pierwszej potrzeby" — moi rozmówcy, którzy przywędrowali tu właśnie z zebrania komitetu parafialnego, odpowiedzieli szczerzej i wyraziściej: „I tak człowiek skosi i zwiezie i tak". Właśnie są żniwa, a w czasie żniw jak wiadomo, kosi się i zwozi. Wieś nie posiada biblioteki. Mało! poza dziecinnym elementarzem i książeczkami do rachunków nie udało mi się dostrzec właściwie żadnej książki. Do dziś jeszcze traktuje się poważnie jedynie niższe oddziały szkoły podstawowej. Gospodyni, u której zatrzymałem się — jedna z poważniejszych osobistości w Małyniu — zwierza się z zamiaru „wypisania ze szkół" dwojga swych dzieci od września — skończyły bowiem 6 oddziałów. Edukacja wystarczająca. Potrzebne są do roboty. Rolę wystarczającego informatora o świecie spełnia nadal ambona. Proboszcz poinformował w czasie ostatniej sumy o istnieniu państwa żydowskiego, poczem cytatami z pisma świętego udowodnił jego niechybną, uwarunkowaną przekleństwem metafizycznym zagładę.

W KRAINIE „BALLAD I ROMANSÓW"

W cieniu kościoła gotyckiego, pod turkotem młyna rozciąga się nieopodal efektownej szkoły powszechnej, o 28 km od Łodzi, bynajmniej jeszcze nie w stanie zaniku strefa kulturalna magnetycznego rozumienia świata.

Jedna z inteligentniejszych gospodyń dopuściła mnie i żonę do nowonarodzonych prosiąt dopiero po wzięciu uroczystego zobowiązania, iż przy wejściu do chlewa spojrzymy najpierw w pewien skomplikowany sposób na własne paznokcie, aby zapobiec niebezpieczeństwu mimowolnego urzeknięcia. Ulubione tematy wiejskich wieczorów niedzielnych też same, jak w latach narodzin „Ballad i romansów" — nie przesadzam:

Poświęcenie kamienia węgielnego pod organistówkę w Małyniu (r. 1937)

1) Niezbite dowody istnienia czarownic — podbieraczek mleka.

2) Liczne dowody wyższości znachorów nad lekarzami łódzkimi (może i słusznie).

3) Złowieszcza moc, jaką posiada zagrzebana przez zemstę za stodołą upatrzonej ofiary kość z cmentarza: — „tego natychmiast choroba wyłamie". Pewien nieżyjący już owczarz, sąsiad mego rozmówcy, używał w tym celu obrzynków z ciałek nienarodzonych dzieci, wyprutych na cmentarzu z łona umarłych przed połogiem matek.

„MODA I ŻYCIE"

Postawienie w tym miejscu kropki byłoby jednak stwarzaniem nowej ballady — sugerowaniem mitu o jakimś ahistorycznym reymontowskim rezerwacie wsi „pierwotnej". Stale kulturowo oddziaływują kontakty handlowe i rodzinno-towarzyskie z drobnomieszczaństwem łódzkim. Łatwo uchwytne efekty tego kontaktu — to fonetycznie nienaganna polszczyzna, z typowymi dla Łodzi rusycyzmami i germanizmami, swobodne miejskie obejście, mieszczańskie zadowolenie z siebie, instytucja rodzinnego albumu z fotografiami, oprawionego w adamaszek, z mosiężnymi klamerkami i, w symbiozie z rodzimymi zainteresowaniami cudownościowo - demonologicznymi, wrażliwość na „echa miejskie" — katastrofa tramwajowa, zatopienie się motorówki z harcerkami, zbrodnia teściowej i... wszystko.

Trzy młode kandydatki na awans społeczny do drobnomieszczaństwa czytają z zacięciem „praktyczne" pismo „Moda i Życie".

STRAŻ POŻARNA

W cieniu wieży gotyckiej, przy turkocie młyna, o 28 km od miasta słynnego instytucjami społecznymi i naukowymi śpią jeszcze, oby krótko, świadomość polityczna, zainteresowanie się współczesną rzeczywistością, światem, szersze zainteresowania kulturą, intelektualną. Nie widać jeszcze na tym terenie żywej instytucji, która by energicznie brała się do rzeczy. Stan ten jest niewątpliwie chwilowy. Kilku rozproszonych na terenie wsi członków PPR-u niemal nie widać. Przy gminie istnieje podobno Stronnictwo Ludowe. Wspomniał mi o tym podczas wywiadu, nie umiejąc nic dalej powiedzieć na ten temat „rezolutny" sołtys, który gdy mu cierpliwie tłumaczyłem przez pół godziny ktom zacz i poco przychodzę, pojął wreszcie że jestem... deputatem z sąsiedniej gminy, wysłanym tu celem pertraktacji w sprawie pewnych zmian terytorialnych na pogranicznym pastwisku. Samopomoc na ogół ogranicza swą działalność do nieźle prowadzonego uniwersalnego sklepu. Najpopularniejszą, poza komitetem parafialnym instytucją jest straż pożarna — właścicielka dzielnych beczkowozów.

ROCZNICA PKWN-u I ODPUST

Dziś czwarta rocznica ogłoszenia manifestu PKWN-u. Święci ją Małyń wywieszeniem sporadycznie miniaturowych kilkunastucentymetrowych quasi — sztandarów (wiadomo nawet gazeta nie na kieszeń Małynia) i zamknięciem dla niewtajemniczonych sklepu Barugi. Żadnego zainteresowania istotą święta, uroczystego nastroju wewnętrznego, żadnej imprezy patriotycznej, odczytu. Nie wynika to bynajmniej z jakiejś określonej niechęci ideologicznej. Poprostu nie ma tego rodzaju tradycji. Raz jeden miała tu miejsce podobna akademia okolicznościowa: przed 9-ciu laty. Od szeregu niedziel wieś żyje, poza żniwami, nadchodzącym odpustem, rozgorączkowanie wzrasta.

Małyń, 8. VII. 48 r.

Jerzy Falenciak

Rezerwaty*)

NAJPIERW wstęp do recenzji. Nowele Sienkiewicza „Janko Muzykant", „Jamioł", „Organista z Ponikły", a nawet „Bartek Zwycięzca" nie dowodzą mniejszego dystansu między chłopską wsią i autorem niż odległość między nim a Indianami, opisywanymi w „Listach z Ameryki". To samo w „Antku" Bolesława Prusa, kapitalnej noweli, której bohater wypada w związku z chłopskim środowiskiem nie mniej abstrakcyjnie niż byłby to na przykład związek z ludem = demosem w „Faraonie". Owego błędu w postrzeganiu chłopa — i robotnika, gdy się pokazywał — nie poprawiały binokle pozytywizmu.

Sienkiewicz i Prus nie patrzyli inaczej na masę chłopską niż z perspektywy dworkowego ganku albo pisarskiego gabinetu w secesyjnej kamienicy warszawskiej. I przez to chłopska wieś wywoływała fałszywy pozór idyllicznego rezerwatu w miejsce przymusowego ghetta klasowego.

Dopiero na tle tej dziesiątoplanowej dekoracji grały solo, sprawy i problemy jednostki chłopskiej, biedy, zmarnowane talenty i okazje, niedościgłe szanse. Sienkiewiczowska i prusowska koncepcja społeczna chłopstwa nie dorasta do skali zagadnienia murzyńskiego w beletrystyce amerykańskiej, licząc nawet od „Chaty wuja Toma".

Rezerwat — rozumie się ludzki — to też ghetto, tyle tylko, że oglądane z daleka. Ghetto w sferze stosunków zewnętrznych jest ostrym problemem, rezerwat—estetycznym tematem. Obserwując od wewnątrz — nie ma między jednym i drugim różnicy. Na złudzeniu takiej różnicy polega uprzedzenie, że murzyński Haarlem stanowi ghetto typowe, a szczątek Indian w National Park wyobraża rezerwat jako coś całkiem odmiennego.

Niewiele uzasadnia w tym uprzedzeniu fakt, że amerykańscy Negrzy, chociaż pochodzą z pochwytanych w Afryce niewolników, głoszą już dzisiaj hasła polityczne i społeczne (może nie tyle hasła, ile błagania pod adresem Białego Domu), a chronieni specjalną ustawą Indianie niczego nie żądają i niewiele pragną. Prawda, że z licznej ongiś i wojowniczej rasy stali się czerwonoskórzy samorzutnym zrzeszeniem trup widowiskowych o renomowanej sławie. Cecha narodowości przemieniła się w zawód, w sposób zarobkowania drogą małpich niemal przedstawień w sezonie turystyki.

Byłoby coś podobnego, gdyby skrzyżowało się jakoś węgierskich Cyganów z zakopiańskimi góralami.

Czarni Amerykanie mówią już i piszą o sobie, zdobyli przyjazne i poważne zainteresowanie innych. Czerwonoskórzy są zaledwie obiektem dla fotografa i filmu. Nie wydali indiańskiego trybuna ani przywódcy od czasu Sitting Bulla (taki indiański Spartakus), nie doczekają się rzecznika z zewnątrz, stracili firmowaną przez Coopera godność. I nigdy już pewnie nie będzie zagadnienia indiańskiego, ich dekadencja pozostanie aż po wymarcie ich własną sprawą, wartą co najwyżej reportażu na wesoło. Lecz nie jest to „diffrentia specifica" miedzy ghettem indiańskim i murzyńskim, Indianie bowiem nie potrafili tylko i nie potrafią wyrównać skąpości swej liczby jakością swej społeczności — tak jak cyganie zresztą. Zatem minimalna, marginesowa problematyka ich ghetta i dalej — rezerwat zdaniem patrzącego z ubocza.

Henryk Sienkiewicz podróżując po Stanach Zjednoczonych w siedemdziesiątych latach zeszłego stulecia zaciekawił się Indianami, Negrami mniej. Ich wyzwolenie z niewolnictwa w 1865 roku, ta „murzyńska reforma rolna" południowych stanów, nie nastręczyła mu żadnych porównań ani refleksyj. Wyniósł za to stamtąd pomysł „Za chlebem", rzeczy wątpliwie wiernej w wyrażeniu charakteru ówczesnej emigracji chłopskiej z Polski, masowej i solidarnej. Identycznie błędnej impresji uległa Konopnicka w „Panu Balcerze" i — interesujące! — w tym samym kolorycie utrzymał Conrad dziwną opowieść pt. „Rozbitek", której bohater Hucuł miedzy Anglikami wypada tak bardzo „alla polacca", zwłaszcza dla polskiego czytelnika.

Repulsywne przeżycia twórcze Sienkiewicza odbite w noweli „Za chlebem" oraz Konopnickiej w poemacie „Pan Balcer w Brazylii" dopiero utwierdzają nas w pewności, jak pełen atrakcji i różowej barwy był dla tych dwojga pisarzy widok wsi chłopskiej w kraju, a emigracja chłopska niczym innym, jak tylko fatalistycznym exodusem chłopstwa, zaagitowanego przez agentów hamburskich towarzystw żeglugowych. Ale fikcją jest nomadyzm tej emigracji i fikcją też koncepcja krajowego rezerwatu chłopskiego, oderwanego od dziejów i spraw opisywanych bohaterów

O takie literackie konstruowanie dawniejszej chłopskiej problematyki nikt dziś nie ma pretensji, ale powstaje kwestia, ile pozostało z Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej, Reymonta w nowoczesnej prozie chłopskiej. I czy nie za dużo.

„Cierpki owoc" Józefa Pogana składa się z dwunastu nowel, „oddających sprawiedliwość chłopskiemu światu" już na nowszą, lecz nie najnowszą modłę.

Należy je podzielić na dwie części, z których pierwsza tematycznie obejmuje epokę od czasów popańszczyźnianych do ostatniej wojny, a druga od tej wojny aż po dni dzisiejsze. Zdaniem moim część pierwsza stoi wyżej od drugiej i to pod względem nie tylko literackim.

Nie jest mym zamiarem poprawianie twórczości Pogana, która ma ustalony walor, daleko poza kręgiem czytającej wsi. Jego opowiadanie pt. „Służba" jest szczytem mistrzostwa w trudnej sztuce „short story". Nowela „Niedołężne małżeństwo" będzie znów świadectwem socjologicznych talentów autora. Zadanie, które sobie tu stawiam, polega na stwierdzeniu, możliwie najbardziej obiektywnym, że twórczość Józefa Pogana, zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich rzeczy hołduje ponad miarę wzorom przeszłości, przeciw przykładom teraźniejszości.

Byłoby niestosowna krytyką, gdybym np. zarzucił Poganowi eklektyzm literacki w całej pełni, poprusowski i posienkiewiczowski, czy jaki tam. Trudno jednak oprzeć się sugestii, że szkic „Cierpki owoc" to uwznioślona rejmontowszczyzna, a „Pod wspólnym dachem", to znowu patriotyczna oda „na siłę" a la Żeromski itd. Niewątpliwie wiele w tym bezwiednego podziwu dla wczorajszej literatury, ze szkodą właściwej autorowi inwencji społecznej oraz uwidocznionej przez niego problematyki.

I tak nowela „Niedołężne małżeństwo", nosi przez tradycyjność ekspozycji literackiej, właśnie piętno chłopskiego rezerwatu. Bolączki rodziny Zdybów są tam ni to opłakiwane ni to ochichotane. Niedola wydaje się osobliwością. Stary Zdyba idzie po proszonym chlebie „troche przez niedołęstwo, trochę przez ojca i matke, że go niepotrzebnie ożenili, a do reszty przez pobożnego krzywdziciela organistę (lichwiarza)". Takich Zdybów jest w Polsce dużo. Bankrutują w sferze małego chłopskiego kapitalizmu, rządzącego się prawidłem interesu osobistego, tak, jak i kapitalizm wielki. Skazani na samodzielność produkcyjną i indywidualną inicjatywę gospodarczą nie są w stanie utrzymać się na poziomie gromady sumy chłopskich egoizmów.

W warunkach wsi spółdzielczej lub państwowej fabryki Zdyba, Zdybowa i ich dzieci okazaliby się najnormalniejszymi i przydatnymi gospodarczo pracownikami. Nie dawaliby okazji do śmiechu sąsiadom i uniknęliby urazów podwartościowości.

Ten tzw. realizm chłopskiej prozy znalazł się obecnie na niebezpiecznym zakręcie, zwłaszcza przy tak wielkim obciążeniu tradycjonalizmem co do formy i naturalizmem co do treści.

Był mit rezerwatu chłopskiego, ale nie było mitu rezerwatu robotniczego. „Nasza szkapa" nie wpływa więc na twórczość typu Wł. Rymkiewicza i innych podobnych (patrz fragmenty „Merkury" i „Przeprowadzka" w ostatnich numerach „Kuźnicy").

*

Dziesięć nowel Józefa Mortona zebranych w tomie „Klucz bożej Klamentyny", zawiera materiał treściowy bardzo różnego charakteru. Część ich („Klucz bożej Klamentyny", „Czarownice", „Cacko odpustowe") winna być opatrzona wyraźna klauzula: „wszelkie prawa reprodukcji, przekładu i adaptacji zastrzeżone na wszystkie kraje". Mogą bowiem skusić międzynarodowych agentów wydawniczych i tłumaczów, poszukujących twórczości w rodzaju skandynawskich sag, rosyjskich bylin i starofrancuskich ballad, obojętne czy oryginalnych czy dopiero dzisiaj stylizowanych i podrabianych. — Byłyby to oczywista także „Légendes polonaises", takie same jak tłumaczone kiedyś i wydane, przez źle rozumiejącą polski Mlle Suzanne Strowską, pod tytułami: „Histoire d'une jeune paysanne qui devint une grande dame" albo „Histoire de Bartek qui devint un célèbre docteur connu du monde entier".

Porównując „Klucz bożej Klamentyny" Mortona z „Cierpkim owocem" Pogana spostrzega się jedno przede wszystkim. Wcześniejsze, „przedwojenne" niejako nowele Pogana wyróżniają się problematyką bardziej ważką. Opowiadania Mortona z kategorii „Cacko odpustowe" nie wykazują znaczniejszej problemowości idąc raczej na artystostwo, kokietuje czytelnika egzotyką chłopskości. Chwyta to publiczność, zwłaszcza miejską przywykłą do tradycji właśnie chłopsko-rezerwatowej, według recepty Sienkiewicza i Prusa, a ostatnio podbudowaną osadem powrotnej fali agraryzmu.

W utworach o tematach z czasu wojny Morton dostarcza dobrych prób literackiej dokumentaryzacji, tematów już powojennych wydany zbiorek nie obejmuje. A byłoby może najbardziej interesujące porównać pod tym względem twórczość Mortona z twórczością Pogana. Zresztą na tym polu otwierają się nowe możliwości pisarskiej rywalizacji obydwu autorów, które na ogół biorąc między nimi istnieje.

*

Wreszcie zakończenie recenzji. Stanisław Piętak, nie tak dawno nazwany przez kogoś pisarzem chłopskim, bardzo energicznie zaprotestował. Rozumiem i wyczuwam dobrze intencje w tym jego skrajnym stanowisku. Nie dowodzi ono jakiejś renegacji środowiskowej, a było to po prostu odruchem ambitnego i prawdziwego artysty o uświadomionych drogach własnego rozwoju. Można nosić miano pisarza chłopskiego, ale nie należy buńczucznie siebie samego tak nazywać. Będzie to bowiem wtedy dowodziło związku z twórczością w ogóle zaledwie przez temat, bez szansy na zbliżanie się do pisarskiej doskonałości.

Ten „kompleks Piętaka", gdyby się udzielił niektórym literatom spod znaku Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol., mógłby mieć wpływ dobroczynny, chociażby pod względem ich możliwości rozwojowych na gruncie pisarstwa chłopskiego.

---

*) Józef Pogan: Cierpki owoc. Nowele i opowiadania. Nakł. Spółdz. Wyd. „Książka". Warszawa 1948. — Józef Morton: Klucz bożej Klamentyny. Nakł. Spółdz. Wyd. „Książka". Warszawa 1948.

Maciej Koliba

NOWE KRAJOZNAWSTWO

Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego zorganizował przed otwarciem Wystawy Ziem Odzyskanych cenną w założeniu imprezę. Zaprosił mianowicie dziennikarzy krajowych i zagranicznych do uczestnictwa w wycieczce, której zasadniczym celem miało być pokazanie przemysłu włókienniczego na Ziemiach Odzyskanych. Wycieczka trwała około dwunastu dni. Pod względem tak zwanych usług — komfortowy autokar, staranna opieka nad uczestnikami — impreza była zorganizowana poprawnie.

Dziennikarzom kilkudniowy wspólny pobyt dał niewątpliwie dużo — nawiązanie kontaktów, wymiana poglądów, dzielenie się obserwacjami. Ta forma towarzyskiego zbliżenia ludzi określonego zawodu jest na pewno zapładniająca. Jest to jednak sprawa peryferyczna. Problemem istotnym jest owocność samej imprezy w konsekwencjach pisarskich, w tym, jakie z kolei uczestnicy zdadzą relacje z tego co oglądali. Zostali powołani przez państwo do obejrzenia zakładów przemysłowych, nie było to towarzyskie, nieobowiązujące zaproszenie. Tego rodzaju przedsięwzięcie kosztuje duże pieniądze. Chodzi o to, żeby te pieniądze się dobrze zamortyzowały.

Wydaje mi się celowe zastanowić się nad tym, czy wszystkie warunki były spełnione, które by pozwoliły uczestnikom wycieczki w pełni się „wypłacić". Sprawa warta jest przedyskutowania. Sądzę, że ten typ „krajoznawstwa" powinien być uprawiany. Pisarz powinien mieć pełne widzenie procesu odbudowy i rozbudowy naszego przemysłu — bazy gwarantującej narodowi ludzkie warunki bytu, bazy warunkującej społeczeństwu wzrost kulturalny. Oczekujemy dalszych zaproszeń od Przemysłu Hutniczego i Metalowego, od Zjednoczeń Węglowych, od Ministerstwa Rolnictwa.

Chodziłoby o to, ażeby tego rodzaju imprezy były tak pomyślane, by dały się w pełni zutylizować przez tych, dla których są robione.

Od wycieczki dzieli mnie miesiąc czasu, mam więc wobec niej dostateczny dystans, oglądałem również jej owoce, przeglądając kilkanaście reportaży, robionych przez uczestników „na gorąco". Spośród tego mnóstwa materiału dużą niewątpliwie wartość miały wypowiedzi literatów. (Było ich stanowczo za mało). Jak dotąd poznałem reportaż Ryszarda Matuszewskiego w „Kuźnicy" i Stefana Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym". Pierwszy jest próbą spojrzenia na przemysł oczami humanisty, drugi interesującą, przekorną (z założenia) gawędą w stylu „liberała" Kisiela, gawędą zbliżającą jednak czytelnika do problematyki Ziem Odzyskanych. Reszta materiału, który przejrzałem to typowa reporterka dziennikarska. Artykuliki mają swój określony schemat, można by zawrzeć go w kilku punktach,

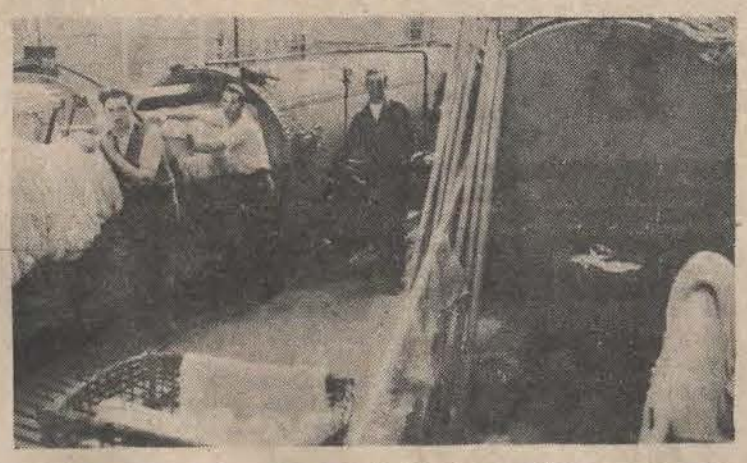

Państw. Zakł. Przem. Wełn. nr. 22 w Stabłowicach, k/Wrocławia. Parownia przędzy

wszyscy zresztą dostatecznie dobrze ten typ „pisarstwa" znamy.

Dla czytelnika to jest „Bogiem a prawdą" niestrawne, nie potrafi go zemocjonować, nie potrafi go wciągnąć w sprawę. Poza reportażem dziennikarskim czytelnik nie widzi, nie czuje samej rzeczywistości, którą ma mu się przedstawić, po prostu przestaje w nią wierzyć.

Czy to jest problem złej techniki pisarskiej, czy czegoś więcej? Wydaje mi się, że sprawa leży w czymś innym. Nasze dziennikarstwo na ogół nie ma zbyt dobrych tradycji, zwłaszcza w sferze, o której tu mowa. Wiąże się to zresztą ze złą tradycją w ogóle — historycznego braku zainteresowań dla problemów gospodarczych, dla zagadnień techniki, dla spraw procesów cywilizacyjnych.

Właśnie ten brak tradycji sprawia, że nasi dziennikarze nie mają właściwych narzędzi, nie mają języka, którym potrafiliby dać czytelnikowi wizję, a równocześnie prawidłowo wypunktowaną wiedzę o przedmiocie.

Tu powracam do sprawy. Żeby móc pisać dobrze o przemyśle włókienniczym, trzeba znać gruntownie sam problem. Zapoznanie się z problemem, w braku jakichś prawidłowych studiów, może doskonale moim zdaniem się spełnić właśnie przez formę wycieczek, w czasie których prócz pejzaży (można prywatnie) uczestnik zdobywa ogląd warsztatów produkcyjnych wszelkiego typu, ale i coś więcej — wycieczka jest dla niego pewnego rodzaju seminarium, na którym w granicach, oczywista, możliwości zdobywa metodą skrótową dostateczną wiedzę o całym splocie zagadnień, które składają się na wyczerpujący obraz oglądanej gałęzi przemysłu.

Jak to technicznie wykonać?

Sprawą ważną są uczestnicy. Należałoby tu uniknąć momentu przypadkowości. Biuro wycieczki powinno na długo przed samą imprezą ustalić w porozumieniu z redakcjami listę kandydatów. Byłoby wskazane zaprosić literatów, którzy grawitują ku pisarstwu reportażowemu, a także tych, którym problemy gospodarcze i społeczne są bliskie ze względu na zakres pracy twórczej. Kandydaci powinni mieć wcześniej dostarczony materiał, orientujący o potencjale danej gałęzi przemysłu, o jego udziale w ogólnej gospodarce narodowej, naprasza się tutaj do przestudiowania sprawa konsumcji wewnętrznej i możliwości eksportowych, produkowanego w danej branży towaru. Kwestia następna to narzędzia produkcji i najważniejsze — człowiek, robotnik funkcjonujący w nowym ustroju. Tak przygotowany kandydat będzie oglądał taki czy inny przemysł, już w pewnym systemie. Pozwoli mu to koncentrować uwagę na sprawach specjalnie mu bliskich. Powinno tu być oczywista jakieś sensowne rozszczepienie zainteresowań. Bo poco nam później pięćdziesiąt identycznych reprodukcji. Pracę obserwacyjną należałoby tu precyzyjniej rozłożyć.

Sama już wycieczka byłaby ilustracją, przykładem; ogląd dostarczyłby emocji wizualnych, uzupełniających poznanie teoretyczne. Suma dwóch ciągów: intelektualnego i „postrzeżeniowego", stworzyłaby dla uczestników wycieczki dostatecznie silne bodźce, w następstwie których mógłby powstać tak dobry reportaż, jak dobrą jest praca robotnika i inżyniera. Gdy te warunki nie zostaną spełnione, dziennikarze w porównaniu z ludźmi przemysłu będą tylko dyletantami, ich wytwory nie spełnią wcale tej roli, jakiej się od nich oczekuje.

Powiedziałem, że wycieczka powinna być swojego rodzaju seminarium. Uczestnicy wycieczki jak zaobserwowałem to na ogół ludzie młodzi, ludzie dobrej woli i entuzjazmu. Tę propozycję przyjęliby na pewno bardzo dobrze. Dwanaście dni poświęconych jednemu zagadnieniu, to nie jest mało. Można się kolosalnie dużo nauczyć, można się poważnie uzbroić do dalszej pracy zawodowej. Otóż co tu można by wprowadzić. Wycieczka, w której brało udział około pięćdziesięciu dziennikarzy i literatów, powinna mieć dwóch dobrych specjalistów od danej gałęzi przemysłu, specjalistów z dużymi zdolnościami dydaktycznymi. Ci mogliby się posłużyć formą naukowej gawędy. Nie mogłaby to być „męcząca piła" ale właśnie gawęda, anegdota, fachowa „causerie". Uprawiają to świetnie Francuzi. Do tego rodzaju rozmów „ufachowionych" okazji w ciągu trwania wycieczki byłoby mnóstwo. Uczestnicy przekształciliby się wówczas w określoną „grupę społeczna". Ich zaangażowanie w sprawę byłoby o wiele silniejsze, ich sfamiliaryzowanie z problemem daleko posunięte. Takie „ustawienie" dziennikarza - wycieczkowicza pozwoliłoby mu inaczej już oglądać i sam proces produkcji (a są to sprawy bardzo skomplikowane, patrz: artykuł R. Matuszewskiego „Kuźnica" Nr 30).

Pozostaje problem człowieka. Oglądaliśmy domy kultury, żłobki, ambulatoria, teatry świetlicowe, robotnika przy maszynach. Zbliżyć się do robotnika nie mieliśmy okazji. Były uroczyste powitania przez dyrekcję czy przez tak zwane „czynniki lokalne", były obiady, kolacje uroczyste, na których nie było braci robotniczej. Jasne, że trudno ludzi odrywać od warsztatów pracy, ale jakżeż można pisać o robotniku, gdy się nie zadzierżgnie z nim jakichś serdeczniejszych, towarzyskich nawiązań. W stołówkach fabrycznych siadaliśmy do stołu, przy którym nie było gospodarza. Można byłoby, chociażby kilkunastu przodowników pracy posadzić z dziennikarzami przy obiedzie czy kolacji. Należałoby to się chyba obu stronom. Uczestnicy wycieczki załatwiali to własnym sposobem. Szybko przebiegając przez hale, przyciskali „do muru" to tego, to owego z pracowników, rzucając często w pośpiechu kłopotliwe dla robotnika takie czy inne pytanie w stylu: „ile pan zarabia, jak się pan czuje" itd. Dziennikarz powinien mieć wiedzę, ile robotnik zarabia i dlaczego właśnie tyle zarabia. W rozmowach, prowadzonych swobodnie, właśnie w jakiejś serdeczniejszej atmosferze można by wyjaśnić sobie cały szereg tak zwanych „drażliwych spraw". To byłoby zadanie dziennikarza. Robotnik w masie swojej przechodzi dziś zasadniczą ewolucję, musi on dokonać trudnej przebudowy wewnętrznej, niech by chociaż w drobnym ułamku, dopomogły mu do tego te przelotne kontakty ze światem ludzi, którzy z racji swojej funkcji społecznej obowiązani są z nim w tej strefie współpracować.

Wypowiedź swoją traktuję jako głos dyskusyjny. Sprawa wydaje mi się na tyle ważna, że właśnie pisarz ciągle nie nadąża w swojej funkcji. Gdyby odważyć to, co na Ziemiach Odzyskanych zrobił polski robotnik i inżynier z literackim i dziennikarskim pokwitowaniem tego przez ludzi pióra, wówczas dysproporcja dla pracowników kultury byłaby żenująca.

Władysław Błachut

Z szlachtą polską polski lud

PRZERZUCAJĄC w gościnnych murach Biblioteki Jagiellońskiej pożółkłe ze starości karty czasopism dzielnicowych z 1848 r., natknąłem się w poznańskiej „Gazecie Polskiej" Nr. 32 z dnia 29 kwietnia 1848 r. na niezwykle ciekawą i charakterystyczną relację wieśniaków galicyjskich, wysłanych w deputacji stanów galicyjskich do cesarza w Wiedniu w sprawach związanych ze zniesieniem powinności pańszczyźnianych. Jest to: „sprawozdanie Wojciecha Boniur z Rzędzina i Stanisława Mielaka ze Skrzeszowa, gospodarzy ziemskich obwodu tarnowskiego, deputowanych z innymi obywatelami z tej części Małopolski, którą dziś Galicyą zowią, przybyłych do Wiednia dnia 27 Marca 1848 r., w poniedziałek, w celu narad o wolność swych ziomków".

A oto treść sprawozdania w interesujących nas dziś wyjątkach:

„Kochani a mili nam Bracia! Ziomkowie! Jeżeli kiedy to teraz przekonaliśmy się, że Panowie nasi szczerze nam chcą i dobrze życzą a po poczciwemu. Widzieliśmy ich bowiem jak radzili w kole o dobru naszem, naszych żon i dzieci, naszego gospodarstwa i naszej doli na przyszłość. Ażebyśmy zaś o tem przekonali Was opowiemy tu, cośmy słyszeli i sami widzieli w Wiedniu przez te dni, bo byliśmy przytomni ich naradom wszystkim, i sami do nich należeliśmy, i bez nas nic nie było uradzone na cobyśmy własnemi nie patrzyli oczyma, i własnemi nie słyszeli uszyma.

Rzecz zaś cała miała się tu tak:

Przyjechaliśmy tu najprzód koleją żelazną do Wiednia to jest wozem takim, którego żaden koń, ani też dobytek jaki inny nie ciągnie, tylko para, a to haniebnie że aż pszczy jakby lucyper jaki... Przyjechaliśmy tedy tam do Wiednia, onego wielkiego miasta w poniedziałek to jest 27 Marca 1848 r., a wszędy swar! — niceśmy nie rozumieli. Pytamy się panów naszych: „co to jest?" — a oni odpowiadają nam: „Ha! bo to nie Polska ale Niemcy; nie umieją po polsku rozmówić się z człowiekiem jak to u nas cośmy to wszyscy Polacy".

Potem pojechaliśmy fiakrami do miasta. Jednym fiakrem jechało Xiążę nasze Sanguszko, a my za nim z Panami Hussakowskim, Palestrem, wójtem żydowskim z Tarnowa, i lokajem Xięcia, stanęliśmy tam, gdzie Pan Machalski nie mieszkał i tam czekaliśmy wraz aż do czwartku, póki panowie ze Lwowa tu nie przyjechali do nas.

Jak przyjechali, czekaliśmy tak aż do poniedziałku drugiego, to jest do 3 kwietnia. W ten tedy poniedziałek, zeszliśmy się na salę wszyscy kędyśmy obradowali ciągle od rana do południa, a często i do nocy późnej; i byliśmy przez cztery sessye tak, i słyszeliśmy wszystko jak panowie nastawali na to i przystawali, ażeby do Cesarza to podane było. I czytali nam wszystko i podpisywaliśmy się na to, żeby pańszczyzny i danin nie było i dziękowaliśmy panom za to w imieniu gromad naszych, jako deputowani od wszystkich, bo było dziękować za co. Otóż na tem ino stoi teraz jeszcze, aby Cesarz podatek panom odpuścił urbaryalny, który opłacają dziedzice od pańszczyzny i od wszelakich danin, cośmy im dawali. Ot-że teraz panowie darują nam wszelaką pańszczyznę i daniny.

A gdyśmy tak uradzili to z panami wraz, i podpisali też z nimi do Cesarza podanie to, takeśmy zaraz też na drugi dzień po świętym Wincentym ,to jest dnia 6 kwietnia we czwartek poszli wszyscy do Cesarza — panowie nasi, mieszczanie, żydy i ci wszyscy, co z nami byli, **i my też w kerezyach krakowskich cośmy je tu przywieźli ze sobą**, trzymając się z panami pod ręce, Ja, Wojciech Boniur z jednym panem z Krakowa po polsku ubranym w kontuszu, a Stanisław Mielak znowu z panem Pieniążkiem po polsku ubranym też. Xięża też Dobrodzieje byli z nami, biskup przemyski na samym przodzie. I tak szliśmy przez miasto aż do zamku cesarskiego, kędy miasto całe witało nas straszecznemi okrzykami radości i dziwiło się cudnym strojom polskim.

Przybywszy do pałacu Cesarza weszliśmy na pokoje złociste, kędy wielu panów z gwardyi cesarskiej przyjmowało nas. Stanisław Mielak pozostał w przedpokojach wraz z innemi panami, a nas dwónastu, to jest z każdego stanu jeden, wpuszczeni byliśmy do Cesarza.

Ja, Wojciech Bonjur wraz z panami Deputowanymi wszedłem do Cesarza też. Cesarz miał spodnie jak jenerał — frak siwy, miał gwiazdę na piersiach ze czterema guzami świecącemi złotem. Pod szyją miast spinki miał baranka złotego — faworyty siwe, włosy pięknie umuskane siwawe — oczy siwe — na twarzy niby obrzmiały, wzrostu małego. Xiążę Lubomirski Jerzy czytał mu od nas podanie; bo cesarz się domagał tego. Dopiero wziął karteczkę od ministra swojego i przeczytał nam w głos to co było napisane. Potem odbrał podanie nasze od Xięcia Lubomirskiego i ukłonił się nam do trzech razy a my wzajemnie do kilkunastu razy jemu, i wyszliśmy stamtąd. Na karteczce tej co Cesarz czytał nam było po niemiecku to co w języku polskim wykłada się tak: Przyjmuję jak najżyczliwiej prośby deputowanych naszych galicyjskich i rozkazuję, ażeby wszystkie życzenia ich były natychmiast pod rozwagę wzięte, a o ile te dobro kraju mają na celu, ażeby były jak najrychlej rozstrzygnięte.

To tłumaczył nam Biskup i Xiążę Lubomirski Jerzy i każdy co umie po niemiecku powie Wam to samo. Słyszało nas wszystkich dwónastu cośmy przed Cesarzem byli, przeto też i każdemu z Was, Bracia! Ziomkowie i Gospodarze nasi! do wiadomości Waszej tu sumiennie podajemy, ażeby nikt z nas żadnych fałszywych mów, co to braci z braćmi wichrzą nie słuchał więcej od nikogo; lecz ażebyśmy wiedzieli komu to w Ojczyźnie naszej dobro to winniśmy, **i odtąd wszystkich panów naszych co tak Polakami są jak i my, miłością bratnią kochali.**

A przed naradami temi wszystkiemi byliśmy w kościele Św. Ruprechta w sobotę, kędy ksiądz jeden nasz po polsku miał kazanie do nas, abyśmy Boga prosili o jedność a błogosławieństwo we wszystkich naradach tych, co tyczy się dobra całego narodu naszego polskiego, który wraz z Wami Gospodarze i Bracia Bogu polecamy tu i na to znakiem krzyża świętego podpisujemy się, bo to prawdą wszelką człek powinien żyć. Wiedeń, dnia 8 kwietnia 1848 r., Boniur Wojciech, kmieć z Rzędzina xxx Mielak Stanisław, zagrodnik xxx, jako nieumiejących pisać podpisałem Wincenty Smagłowski Deputat." Następują podpisy 19 świadków.

Z treści tego niezwykle ciekawego dokumentu możemy łatwo zorientować się w atmosferze okresu poprzedzającego bezpośrednio zniesienie pańszczyzny w Galicji. Oto z jednej strony klasa uciemiężonych wiekową niewolą osobistą, gospodarczą i polityczną chłopów, którzy wynalazek maszyny parowej porównują do Lucyfera z piekła rodem, z drugiej zaś górna warstwa braci szlacheckiej, doskonale zdającej sobie sprawę z idącej przez świat idei wolności osobistej człowieka i pragnącej na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed ekscesami z 1846 r. i zdobyć zaufanie uwłaszczanych przez rząd austrjacki chłopów. I gdy ówczesny ciemny wieśniak galicyjski na ogół trafnie zdawał sobie sprawę z tego, że ew. wyzwolenie zawdzięczał będzie cesarzowi, szlachta potrafiła znaleźć od zarania ruchów chłopskich aktywnej ziemi krakowsko-tarnowskiej przedstawicieli chłopskich, którzy stali się rzecznikami jej dobrej — rzekomo — woli i oddania sprawie uwłaszczenia chłopów. Przebrała tych naiwnych deputatów w krakowskie kierezyje, „oprowadzała po ulicach Wiednia" („Pawjem narodów byłaś i papugą"...) i wprowadziła nawet na salony cesarskie! Po zorientowaniu się w sytuacji sporządziła protokół o swych najlepszych dla chłopów intencjach i kazała go podpisać krzyżykami naszym niepiśmiennym delegatom. W ten sposób ci ostatni stali się nieświadomie tarczą ochronną dla interesów szlacheckich i trąbą jerychońską ich więcej niż wątpliwej łaskawości.

A tymczasem wypadki szybko następowały po sobie i niedługo akt łaski (zresztą wyrachowany — „dziel i rządź") cesarskiej przyniósł chłopom galicyjskim zniesienie niewoli pańszczyźnianej i pierwsze prawa natury politycznej. Jest rzeczą charakterystyczną, że ani jeden z tych dwóch delegatów do Wiednia nie wszedł następnie do parlamentu austriackiego.

FAKTY i ZDANIA

„Wohltemperiertes Klavier" — nie dla Grójca!

W „Dialogu o muzyce" („Tygodnik Powszechny" nr. 32 (177), proponuje Kisiel wyjście z upatrywanych sprzeczności pomiędzy społeczną koniecznością upowszechnienia muzyki, a tzw. elitaryzmem muzyki nowoczesnej: „Wyjściem tym" pisze Kisiel „jest **dualizm** pracy muzycznej, konsekwentna, szczera, programowa **dwutorowość:** jedni muzycy muszą pracować nad popularyzacją muzyki wśród ludu, nad kształceniem, przygotowywaniem masy odbiorców, inni zaś twórcy, muszą kontynuować górny ciąg ewolucyjny, linię osiągnięć absolutnych, często nawet „elitarnych".

Ta być może prawda w każdym razie w ustach niesprawiedliwego, opatrzona jest dalej pesymistycznym, a wiele znaczącym, jak na „Tygodnik Powszechny" zastrzeżeniem: „Fuga Bacha z **„Wohltemperiertes Klavier"** nigdy, w żadnym ustroju, nie będzie się nadawała „dla mas" — z tego jednak nie wynika wcale, że należy wyrzucić ją na śmietnik. Państwa budujące swą kulturę planowo i opierające ją na masach odbiorców, zrozumiały przecież konieczność elitaryzmu w dziedzinie nauk ścisłych — w fizyce, chemii czy matematyce, zrozumiały, że należy szkolić i hodować nieliczne kadry naukowców — specjalistów, którzy zagłębią się w dziedziny badań tak abstrakcyjne i dla mas niedostępne, jak choćby budowa atomu".

Nec sutor ultra crepidas, ale już mnie, nie fachowca, nie przekonuje dowodzenie potrzeby elitaryzmu „wyższej" muzyki — czerpaniem przykładów spoza sztuki, z nauki i różnych naukowych umiejętności. W ten sposób można by zajść nie wiadomo dokąd, bo sprawa budowy atomu, tak samo jak zegarka albo pieca jest przede wszystkim rzeczą specjalności, a w rzadkich tylko wypadkach amatorstwa. — Z muzyką inaczej, gdyż stosunek amatorstwa do profesjonalizmu wyraża się tam niewspółmiernie wielką pozycją po stronie miłośników, a małą po stronie uzdolnionych i przy tym wykształconych zawodowców.

Przecież dzieci mieszczańskie, biegające z futerałami nut pod pachą, walące latami w fortepian, na nieszczęście domowników i sąsiadów, to jeszcze wcale nie przyszła elita muzyczna. Daj Bóg, żeby chociaż umuzykalniona publiczność, amatorzy bynajmniej nie na szczeblu „górnego ciągu ewolucyjnego".

Niepojęte są zjawiska umuzykalnienia, zależą głównie od wrażliwości ucha jednostki, wszystko jedno czy z „masy", czy z „elity" z własnym fortepianem i nauczycielem, któremu na ogół biorąc nie czyni różnicy kogo uczy: geniusza muzycznego czy fenomena niemuzykalności.

Kisiel nie bierze pod uwagę w swych „Dialogach o muzyce" faktu, że od lat dwudziestu przebiega żywiołowy proces przyspasabiania mas do „wyższej muzyki" pod wpływem radia. I to coś znaczy i liczy się chyba.

Najbardziej jednak zdumiewające w felietonie Kisiela jest przeoczenie — może przemilczenie — znanej okoliczności, że osłuchanie się mas, „ludu", z poważną i tzw. elitarną muzyką jest starej daty. Te masy karmione są muzyką Jana Sebastiana Bacha (kantaty, msze, pasje, fugi) od lat chyba dwustu pięćdziesięciu, muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta od lat pewnie stu pięćdziesięciu, a Palestriną od jeszcze dawniej, wszystko to w kościołach i kościółkach Grójca, Nadarzyna, Krakowa, Koziej Wólki itd. po szerokim świecie. Prawda, że bez zaznajomienia z nazwiskami kompozytorów, bez podawania czasu powstania utworu i bez komentarza — pozwólmy, bo o masy idzie — choćby programowego.

To obycie muzyczne chodzących do kościoła, samo się naprasza o zdyskontowanie w akcji upowszechnienia elitarnej muzyki, po odrobieniu zaległych braków o charakterze zaledwie bibliograficznym. Tę zaległość odrabia Zofia Lissa, czego Kisiel nie może jej darować.

We wcześniejszym felietonie niż „Dialogi o muzyce" („Upowszechnienie kultury" — „Tyg. Powsz.", nr 19 (164), pisze tak samo Kisiel: „akcja upowszechnienia kultury nie może w niczym wpływać na twórczość kulturalnej „góry" — są to dwie różne rzeczy, nie mogą ze sobą kolidować, nie mogą być robione przez tych samych ludzi, muszą być rozdzielone. Gdyby Palester grał dzisiaj swoją symfonię w Psiej Wólce, a Breza czytał swe utwory w Kaczym Dole — nie miałoby to jeszcze żadnego sensu i wyszłoby na złe obu stronom. Bowiem masa nie jest na razie gotowa itd., itd.".

Kto w lasku ten w lasku, kto w piasku ten w piasku. Palester nie będzie komponował tych „masówek" i nikt go do tego nie zmusi, nie spłodzi też Kapyciński symfonii, nawet jakiejś „in blue". Ale Kisielowi nie chodzi tyle o produkcję muzyki ile o jej konsumcję, ten akcent mu się narzuca.

Kisiel wie dobrze, że masy znają starych „elitarnych" mistrzów „ze słuchu" tylko, ale to nie znaczy, że nie znają wcale. Radziecki chór Smiesznikowa śpiewał niedawno w różnych okolicach Polski utwory rosyjskie. W repertuarze znalazła się jedna pieśń, „Crucifixus" o łacińskich słowach — to dla Polaków przez kurtuazję, brzmiało to — ho, ho! — jak u św. Krzyża na sumie. O tym naszym masowym wyrobieniu w „wyższej" muzyce wiedzą więc daleko i szeroko.

Kisiel głosi separację twórczości muzycznej: pierwsza ranga, druga, a może i trzecia. Nie ma za to wcale wyraźniejszej koncepcji co do upowszechnienia tej twórczości w jej szczycie między masami.

Co to znaczy bowiem, że Palester nie powinien występować ze swą symfonią w Koziej Wólce? Czy to nie to samo, co przedwojenny spór o uniwersytety, obrona czystości „elitarnej nauki", obawa o zachowanie „wyrazu" uniwersytetów, przeciwdziałanie, „wulgaryzowaniu" wiedzy bezinteresownej itp.

Idąc po tej linii socjologicznej spekulacji na muzyce, dojdzie Kisiel, chciał nie chciał, do swoistej koncepcji upowszechnienia, umasowienia muzyki.

Znali ją kiedyś Niemcy. Wyglądało to obrzydliwie, tak mniej więcej.

W niedzielę, w parku miejskim gra orkiestra, najpierw np. wstęp do „Tannhäusera" — publiczność aprobuje, „wunderschön". Potem „Fost im Walde" z ukrytym w krzakach kornecistą (owo: tra-ta, ta-ta, jakby z najprawdziwszego dyliżansu) — też „wunderschön". Niemieckie upowszechnienie kultury — Waldteufel z Wagnerem na przekładańca. A już sam Wagner, sam Bach, sam Mozart tylko w zamkniętej filharmonii, „mit'm Visitentrachtzwunge".

To Kisielowi najbardziej odpowiada. Tylko, że masy ludowe w Polsce znajdują się na wyższym szczeblu ogłady kulturalnej, niż się to wydaje środowisku „Tygodnika Powszechnego".

jf.

Kurierowskie lewactwo

W wydawanym w Łodzi „Kurierze Popularnym" (nr 210 (994) w artykuliku **„Musimy iść z postępem"** czytamy co następuje: „Stary samochód po remoncie robi próbę wytrzymałości silnika i rozklekotanej karoserii. Naraz jęknął, zgrzytnął i stanął. Kierowca, podniósłszy maskę wozu, zaczął coś majstrować, a my idziemy na mleko do pierwszej z brzegu chaty.

Właśnie wjeżdża na podwórze wóz naładowany zbożem. Przed samą stodołą łamie się jedna z drabin i ciężkie snopy żyta osuwają się na ziemię. Gospodarz nie traci pogody ducha. Zapalamy papierosa. Nawiązuje się rozmowa. Dowiadujemy się, że żniwiarz gospodaruje na 8 ha, ma liczny inwentarz i należy do gospodarzy, którym powodzi się nieźle.

— Chłop nigdy nie narzeka na robotę—mówi.—Ciężkie warunki bytu uczą go od najmłodszych lat znoju i biedy. Dużo poprawiło się od czasów sanacji, ale uważam, że sama reforma rolna nie usunęła naszych wszystkich kłopotów. Według mnie, należy w rolnictwie używać więcej maszyn. Ja używam do pracy pługa i kosy, a mój dziadek miał sierp i sochę drewnianą. Moje dzieci będą orać pługiem motorowym, siać siewnikiem, kosić żniwiarką, młócić elektryczną młockarnią.

— Co myślicie o spółdzielniach produkcyjnych, czy one pomogą chłopom?

— Myśl o takiej spółdzielni zrodziła się we mnie na długo przed wojną. Zastosowanie odpowiedniego płodozmianu i nawozów sztucznych oraz maszyn rolniczych musi dać lepsze plony, a zmniejszyć ilość pracy przypadającej na członka spółdzielni. Więcej wolnego czasu chłop wykorzysta na czytanie książek, gazet, słuchanie radia i dyskusje wzajemne, które rozwijają umysł.

Nawał roboty przygniata chłopa, pracującego bez sił najemnych. Przecież mogą wyznaczyć pewną ilość godzin na pracę i wykonać ją nowoczesnymi narzędziami, a resztę wolnego czasu poświęcić na naukę i rozrywki kulturalne. W naszej wsi do takiej spółdzielni produkcyjnej przystąpią wszyscy gospodarze — zapewnia. Zbudowaliśmy wspólnymi siłami cegielnię polową, będziemy mieć wkrótce własny Dom Ludowy. Musimy iść z postępem".

Oto majstersztyk dziennikarski. Króciutki artykulik, a czego w nim nie ma? Zepsuty samochód, ale za to okazja do sielanki z mlekiem i do stworzenia rodzajowego obrazka: wóz naładowany zbożem, ciężkie snopy żyta łamią drabinę, napotkany pierwszy z brzega, przeciętny gospodarz (naturalnie pogodny) przystaje, redaktorski papierosik i rozmówka. O czym? Wiadomo, że nie o zepsutym samochodzie, bo to szofera głowa i oczywiście nie o wywalonej drabinie u wozu, bo cóż to za temat? Gospodarz daje wykład na temat narzędzi rolniczych i ich roli w zwiększaniu produkcji rolnej. No i (naturalnie) spółdzielnie produkcyjne... Dawno przed wojną rozpoczął ów gospodarz ich wypatrywanie. Wszyscy inni chłopi w tej wsi — również zapewne z żonami, dziećmi i nieomal że z mieścowym księdzem i b. właścicielem folwarku. No i nareszcie min. Minc w lipcu br. na plenum KCPPR zgłasza ich projekt. Zatem będziemy świadkami spontanicznego zakładania spółdzielni produkcyjnych. Maleńki jeszcze kroczek i socjalizacja rolnictwa będzie dokonana. Ot co!

Normalnie droga do tego stanu prowadzi przez zawziętą i często długo trwającą walkę klasową, przez przebudowę sposobu myślenia, nawyków i w ogóle kultury na wsi, ale obecnie w Polsce, według opinii reportera z „Kuriera Popularnego", te komplikacje już nie istnieją. U nas przeciętny, pierwszy z brzega spotkany chłop, obojętne — biedny czy kułak — chce zakładać spółdzielnię produkcyjną. Stan rzekomo identyczny ze stanem w Jugosławii w relacji Tito. Tam też chłopi gwałtem podobno domagają się spółdzielczej produkcji.

Do diabła z takim „lewactwem". Niech pan, panie dziennikarzu, przestanie jeździć w pobliżu wsi!

Kp.

Uwaga chorzy!

Czytelnicy i redaktorzy pism tak są zepsuci nadmiarem wiadomości o niezwykłych osiągnięciach w Polsce, że niejednokrotnie w powodzi ich nie zwracają należytej uwagi na zjawiska pierwszorzędnej wagi.

Kogóż na przykład z „szarych obywateli" nie interesuje żywo sprawa upowszechnienia lecznictwa, zwłaszcza zaś udostępnienia kieszeni przeciętnego pracownika pomocy dentystycznej. Toż to w obecnej chwili dla wielu ludzi jeszcze luksus. Znajoma dentystka, która nawiasem mówiąc za plombę bierze tylko 500 zł. po znajomości, żaliła się, że Urząd Podatkowy nie dał wiary jej zeznaniu o dochodzie opiewającym na 30.000 zł. miesięcznie. Bardzo rozgoryczona była biedaczka, bo i skąd brać wtedy na dwie służące, dwumiesięczny wyjazd nad morze i zimą na sezon do Zakopanego, a przecież mąż nie pracuje. Obawa popełnienia nietaktu wstrzymała mi na ustach uwagę, że chyba wypadnie biedaczce sprzedać złoty zegarek i tych kilka pierścionków, które ostatnio od ust sobie(?) odejmując kupiła. Ponieważ sam od powstania nie mogę sobie kupić zegarka, poczytałaby to za drwinę. Takie to czasy! Wracając przecież do rzeczy — trzeba stwierdzić ze smutkiem, że skoro czynniki miarodajne, poza Urzędem Skarbowym, nie kwapią się z przyspieszeniem uspołecznienia tych zawodów, przypuszczaliśmy, że będziemy nadal narażali naszych lekarzy na kolizję z moralnością i Urzędem Skarbowym. Tymczasem... To jest właśnie ów niesłychanej doniosłości fakt. Oddajmy przecie głos jedynemu pismu, które niestrudzenie trzymając rękę na pulsie spraw społecznych fakt ten zasygnalizowało. Tym razem zasługa należy do tygodnika „Dziś i Jutro".

LEKARZE I LEKARZE DENTYŚCI NA JASNEJ GÓRZE

„Cóż pomoże człowiekowi, jeśli by wszystek świat zyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?...".

Tymi słowy rozpoczęła siostra, dr med. Wojno konferencję pielgrzymkową lekarzy i lekarzy dentystów na Jasnej Górze.

W dniu 3 i 4 lipca br., zgromadziło się w Częstochowie około 150 przedstawicieli tych zawodów, na trzeciej powojennej, co roku liczniejszej, pielgrzymce lekarskiej.

Uroczyste nabożeństwo przed Cudownym Obrazem celebrował J. E. ks. bkp. Czajka, który po mszy świętej, wygłosił podniosłe, okolicznościowe przemówienie.

W czasie konferencji wygłoszono następujące referaty:

Siostra dr Wojno „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa". Lek, dent. Perliński „Miłość motorem pracy lekarskiej". Dr Hagmajer „Problemy zawodowe lekarza-katolika". Ksiądz dr Wiśniewski „Drogi i bezdroża medycyny".

Dominantą przemówień było stwierdzenie konieczności pełnego zajęcia się chorym pod względem duchowym i somatycznym w czasie leczenia, oraz zwrócenie uwagi na poziom moralny lekarza.

„Wieczór Maryjny" w dniu 3 lipca, prowadzony przez lek. dent. Janinę Cyranową, pozwolił uczestnikom na głębokie przeżycie tematów maryjnych. Parafraza „Pod Twoją Obronę", oraz recytacje, objęły akty prośby, dziękczynienia i uwielbienia.

Inicjatywa lekarzy - dentystów katolickich winna znaleźć jak najwięcej naśladowców wśród innych zawodów". Tyle „Dziś i Jutro".

Należy przypuszczać, że na owej konferencji (patrz referaty: „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa", „Miłość motorem pracy lekarskiej", „Problemy zawodowe lekarza - katolika" i przemówienia, których dominantą między innymi, była troska o poziom moralny lekarzy) poruszono także sprawę wygórowanych i niedostosowanych do zarobków innych ludzi pracujących — honorariów lekarskich (złośliwy kolega podszeptuje mi, że mogłoby to zmącić konferencję, czemu, rzecz prosta, nie wierzę).

Oczekuję tedy, że w następnym numerze „Dziś i Jutro" poda nam listę (wraz z adresami) owych lekarzy i lekarzy - dentystów.

Na początek choćby tylko tych, dla których **„Miłość motorem pracy lekarskiej".** I przykład stanowią chlubny i wiadomo będzie do kogo się udać po pomoc lekarską w potrzebie. Co zaś do innych zawodów — to możeby tak szewców skłonić do pielgrzymki na Jasną Górę? (wyobrażam sobie nawet, jakie byłyby tytuły referatów — acz znów mój kolega redakcyjny (niedowiarek i marksista rzecz prosta), twierdzi, że daleko skuteczniejsze wobec nich są transporty obuwia czeskiego).

Józef Otczajny

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Państwowy Instytut Wydawniczy
Stanisław Wyspiański — Wesele str. 316
Lucjan Rudnicki — Stare i nowe, str. 215
J. O. Curwood — Bari, syn szarej wilczycy, str. 243
J. O. Curwood — Najdziksze serca, str. 218
J. O. Curwood — Szara wilczyca, str. 243
Hanna Malewska — Kamienie wołać będą, str. 331
Maksymilian Meloch — Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym, str. 212
Henryk Sienkiewicz — Krzyżacy tom I, str. 476, tom II str. 560.

Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana
Jan Parandowski — Król życia, str. 242,
Lucyna Krzemieniecka — Lala Lila w samolocie, str. 27.

Związek Gospodarczy Spółdzielni RP.
Prof. St. Turczynowicz — Eksploatacja torfowisk i użytkowanie torfu, str. 304.

Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P.
Blinowski Fr. — Niektóre zagadnienia spółdzielcze, a ustrój socjalistyczny, str. 15.
Prof. Różanowski M. — Najważniejsze wiadomości o materiale siewnym str. 120.

Centralna Księgarnia Rolnicza — „Samopomoc Chłopska"
Piotrowski Stanisław — Manifesty, str. 108.

Spółdzielnia Pracy — i Użytkowników „Czytelnik" w Krakowie
Artur Maria Swinarski — Legenda o mądrym mężu, str. 73.

Księgarnia A. Tujakowski — Toruń 1948 r
Czerni Józef — Testament młodości, str. 124.

Zakład Nauki o Polsce i Świecie Współczesnym U. J. Kraków 1948
Dr. Sieradzki Józef — U źródeł polityki zagranicznej Polski Ludowej str. 104.

Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
Stefan Żeromski — Nawracanie Judasza, str. 311.
Józef Ignacy Kraszewski — Starosta Warszawski, str. 68.
Mato Lorrah — Dzieci wielkiej wsi, str. 101.
Roman Bratny — W karty z historią, str. 109.
Sir Wilhelm Bragg — Światło, str. 305
Effendi Kapijew — Poeta str. 285.
Wiktor Hugo — Dzwonnik z Notre Dame, część I, str. 62.
Karol Dickens — Opowieść wigilijna, str. 63,
B. Dąbrowski — 114-sta start, str. 64.
W. Sieroszewski — Bokser. Kulisi. Dno nędzy, str. 64.

Gebethner i Wolff
Jerzy Andrzejewski — Ład serca, str. 228.
Jadwiga Kopciowa — Samotność Tomasza Kobzy, str. 227.
Maria Konopnicka — W Gdańsku, str 21
Maria Konopnicka — Niemczaki, str. 16
Maria Konopnicka — Wojciech Zapała, str. 19.
Gustaw Morcinek — Duńskie serca, str. 57.
Bolesław Prus — Anielka str. 260.
Michał Rusinek — Igraszki nieba, str. 292
Ewa Szelburg Zarembina — Dom wielki jak świat, str. 80.
Henryk Sienkiewicz — Z pamiętnika pozpańskiego nauczyciela str. 24.
Stefan Żeromski — Siłaczka. Na pokładzie str. 40.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł; 1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł. kwartalnie 180,— zł. półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, żwirki 2.
D—025554

W OSTATNIM NUMERZE 30—31 (159—160) z dnia 25 lipca — 1 sierpnia 1948 r.

„Młode pokolenie chłopów" (w dziesiątą rocznicę); **Piotr Chmura** — Bóg na lewicy; **Mieczysław Grad** — Spór o młode pokolenie; **Jerzy Miller** — Do Andrzeja; **Stanisław Cieślak** — Plany regionalne; **Jan Aleksander Król** — Tradycja, ale jaka?; **Stefan Czarnowski** — Reakcja katolicka w Polsce; **Andrzej Braun** — Statek w Anglii; **Jerzy Falenciak** — O włoskich chłopach; **Piotr Pigwa** — W Samopomocy Chłopskiej; **Jakub Litwin** — Drobnomieszczańskie uspołecznienie; **Feliks Poleć** — Mój pamiętnik; **Anna Kamieńska** — O poetyczności w poezji; **Paulina Czyżowa** — Sito dla literatury; **Fakty i zdania;** Komunikaty; 14 ilustracji; 12 stron.